This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at http://books.google.com/

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich dzialań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

E
184
.P7
08

A 400424

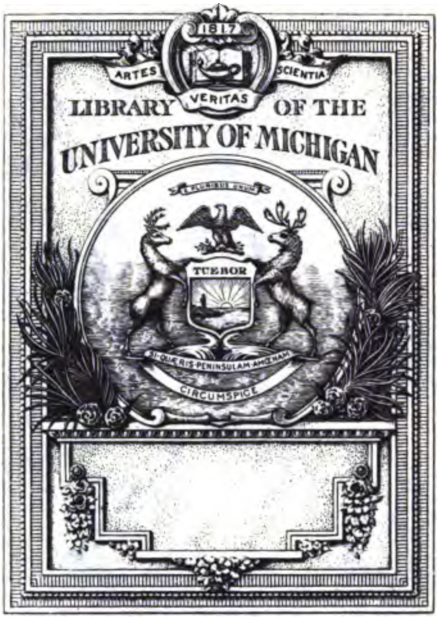

THE GIFT OF
Col. Thomas M. Spaulding

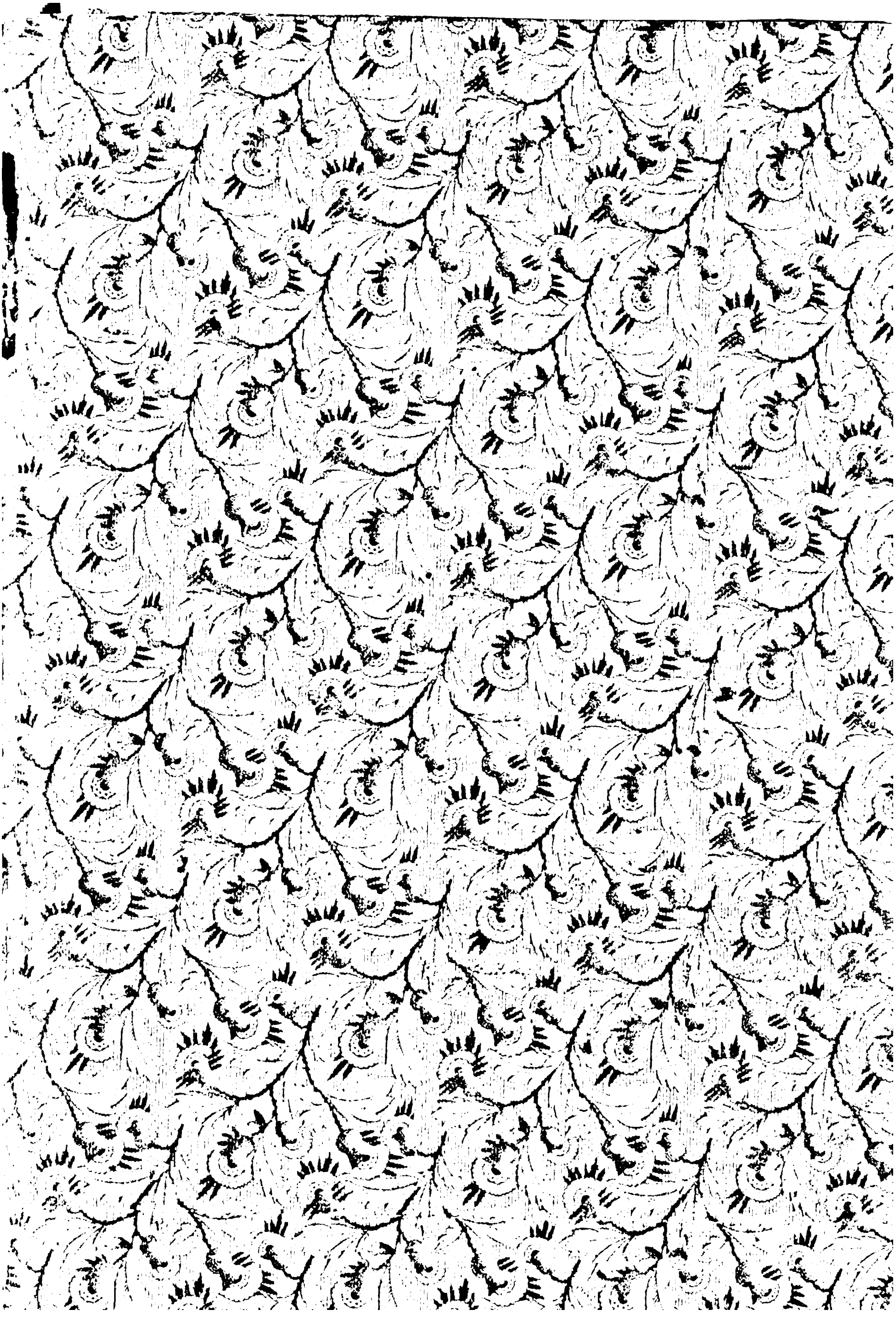

E
184
.P7
O8

Przesyłając ...... Czcigodnemu Panu ......

...... Wł. Studnickiemu ......

jak najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności w Jubileuszowym Roku 1910, ofiarujemy ten upominek, z wiarą, że choćby tylko jedna z poruszonych w tej książeczce spraw przypadnie Mu do serca i w ciągu tego Wielkiego Roku, wesprze ją ku pożytkowi Ojczyzny i Narodu.

Wydawnictwo i Redakcya "Gazety Polskiej".

Stanisław Osada

STANISŁAW OSADA

Na Rok Grunwaldzki

LUDOWI POLSKIEMU W AMERYCE
I JEGO WODZOM POD ROZWAGĘ.

"Trzeba z żywymi
Naprzód iść!"
SŁOWACKI

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ
W. DYNIEWICZ PUBLISHING COMPANY.
CHICAGO, 1910.

MU

gl.
Col. Thomas M. Spaulding
11-21-36

OD WYDAWCÓW.

W drugiej połowie 1909 roku, pomieściliśmy w łamach "Gazety Polskiej" szereg artykułów, pióra p. Stanisława Osady, pod wspólnym tytułem "**Trzeba z żywymi naprzód iść**", w kórych autor podniósł, poruszył, lub przypomniał, wszystkie najważniejsze zagadnienia i zadania naszego społecznego życia w Ameryce.

Przekonani, że wszystkie te sprawy w artykułach tych poruszone, powinny być przy pomocy całego społeczeństwa, jeżeli nie w taki, to w inny sposób załatwione i przeprowadzone, postanowiliśmy, po porozumieniu się z autorem, który je stosownie do potrzeb chwili pozmieniał i uzupełnił, wydrukować osobno, aby społeczeństwo, a zwłaszcza jego przewodnicy i prasa nasza, mieli je stale przed oczyma.

Stoimy u progu wielkiego jubileuszu, wielkiego roku, w którym wszystkie, najmniejsze nawet kolonie polskie wspaniałymi obchodami czcić mają pamięć Grunwaldu.

Ale niedość obchodów, choćby najwspanialszych! **Uderzmy w czynów stal!** a złożymy dowód, żeśmy godnymi potomkami pogromców obłudnego Krzyżactwa!

Zdając sobie dokładnie sprawę z trudności w przeprowadzeniu wszystkich poruszonych w broszurze niniejszej projektów, otwieramy łamy "Gazety Polskiej" dla całorocznej dyskusyi i wzywamy wszyst-

kich ludzi myślących, którym dobro Ludu Polskiego w Ameryce leży na sercu, do wypowiadania szczerze swoich poglądów.

Zeŝrodkujmy myśli, serca i rozumy w jednym kierunku: ugruntowania bytu narodowego naszych gromad wychodźczych na ziemi amerykańskiej i takiego ich zespolenia, ażeby uczuły, że naprawdę tworzą jedno wielkie ciało społeczne, prawdziwą Polską Czwartą Dzielnicę.

Do pracy, a zwyciężymy!

Wydawnictwo "Gazety Polskiej."

1410 — 1910

Wielki rok!

Wielkie święto!

Wspaniały jubileusz!

Pół tysiąca lat upłynęło od wiekopomnego pogromu Krzyżaków na polach Grunwaldu.

Pół tysiąca lat upływa od tej wiekopomnej chwili, kiedy sąsiadujące ze sobą narody Polski i Litwy, rozradowaniem niezmiernem wielbiły Niebiosa za wielki dzień chwały, poczęty i zrodzony z wzajemnego sojuszu.

Święcić mamy wielkie polskie i litewskie święto!

Czyż przypuszczał który z tych praojców naszych, co przed pięciuset laty uderzyli po grunwaldskiem zwycięstwie pieśnią tryumfu, której echa obiegały cały świat i do dziś dnia nie umilkły, w jakich warunkach potomkowie ich obchodzić będą pięćsetną rocznicę?...

Rozdarci, znienawidzeni, kajdanami okuci, niewolą napiętnowani — a jednak — a jednak jeszcze wierzący, jeszcze niezłamani...

Tymczasem Kraków i ten sam co przed pięciuset laty Wawel, te same, co przed pięciuset laty błonia — zobaczą znowu rzesze stutysięczne ludu polskiego, który żyje jeszcze, żyje wspomnieniem chwil wielkich i nadzieją lepszej przyszłości!

Zatrzepoce się znowu Orzeł Biały na czerwonych proporcach, zabłyśnie obok niego Pogoń Litewska, tyl-

ko dzieci Litwy, przedzielonych kordonem przemocy i wpojonej przez wroga nienawiści, pod nimi nie będzie.

"Litwo — ojczyzno nasza"! wyrywa się z głębi serca westchnienie. Obudź się ze snu, odtrąć od siebie przeklętą marę nienawiści!

Wspomnij na węzły dawniej tak serdeczne, wspomnij na walki tak chwalebne, wspomnij na cierpienia, dawniej, zawsze wspólne!...

Drugi Grunwald nas czeka i przyjdzie, ale wtedy tylko, ale wówczas dopiero, gdy jak ongi, jak przed pięciuset laty, Polska, Litwa i cała Słowiańszczyzna połączy się, by stawić czoło nowoczesnemu Krzyżactwu.

. . . .

Polacy w Ameryce nieodrodne dzieci Polski i Litwy, we wszystkich nawet w najdrobniejszych koloniach przygotowują się do uroczystych obchodów.

W maju zjedziemy się u stóp bohatera dwóch światów w Washingtonie, którego znowu, jak Jagiełłę — wydała Litwa nasza...

Czy stawią się tam także bracia Litwini? Czy wszędzie wezmą udział w obchodach naszych?

Jeżeli jeszcze nie zapóźno, należy się do nich zwrócić z gorącym apelem, aby im przypomnieć wielkie dni przeżytej chwały, a staną, staną niezawodnie i w ten sposób położy się fundament dla nowej wielkiej potęgi.

Niech dowie się świat, niech dowie rozwydrzone Krzyżactwo, że żywie jeszcze ta sama potęga, że nowy Grunwald sposobi się w mrocznej jeszcze przyszłości...

. . . .

Skrzepmy się wspomnieniem tego dnia chwały, jak ongi rycerze nasi, w ową noc przedbitewną modlitwą, z głębi serca płynącą.

Ławą ruszyły wojska*) i pokryły się nimi pola, niby kwieciem stubarwnem.

Żadne oko nie mogło objąć zastępów i tego lasu rozmaitych znaków, pod którymi pułki posuwały się naprzód: Szła więc ziemia Krakowska pod czerwoną chorągwią z białym orłem w koronie, za nią szły hufce narodowe, jeden mając nad sobą podwójny krzyż litewski, drugi pod Pogonią, szli Morawcy i Czesi, a dalej szesnaście chorągwi ziem polskich.

I tak rozkwitła pod nimi ziemia, jak rozkwitają łąki na wiosnę. Szła fala koni, fala ludzi, nad niemi las kopii z barwnemi płachetkami, na kształt drobniejszych kwiatów, a z tyłu, w obłokach kurzawy miejskie i kmiece piechoty. Wiedzieli, że ku bitwie strasznej idą, ale wiedzieli, że trzeba, więc szli z ochotnem sercem.

Aż sto tysięcy odkrytych głów podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny:

...Boga Rodzica Dziewica
Bogiem wsławiona Marya!

. . . .

Kirie Elejson...

I wraz moc zstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmierna, zwycięska siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty zaczęły się roztaczać po niebie.

Runęło po borze echo: Kirie Elejson — i rozpoczęła się straszna bitwa.

Wiele bywało bitew na świecie, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak strasznego pogromu. Padł pod stopami Wielkiego Jagiełły, nie tylko Zakon Krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszem rycerstwem wspomagały oną "przednią straż" teutoń-

*) Według Sienkiewicza w "Krzyżakach".

ską, wżerającą się coraz głębiej w ciało słowiańskie.

Z siedmiuset "białych płaszczów" przodujących jako wodzowie tej germańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści tysięcy przeszło ciał leżało w wiekuistym śnie na onem krwawem boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmierzonem wojskiem krzyżackiem, wpadły wszystkie w krwawe i zwycięskie ręce Polaków. Nie ostała, nie ocaliła się ani jedna i oto rzucali je teaz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagiełły, wznosząc pobożne oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem: "Bóg tak chciał!"

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw Polakom — wszystko starte na proch. Cała armia Krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła ogromny obóz krzyżacki, a w nim prócz niedobitków, nieprzeliczoną ilość wozów, wyładowanych pętami na Polaków i winem przygotowanem na wielką ucztę po zwycięztwie.

Na wzgórzu około króla skupili się najwięksi rycerze i dysząc utrudzeni, spoglądali na stosy chorągwi i na trupy leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojeni żeńcy na zżęte i powiązane snopy. Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki boży radosny wieczór.

Więc niezmierne szczęście rozjaśniło twarze zwycięzców, bo zrozumieli wszyscy, że to był wieczór, kładący koniec nędzy i trudom nie tylko dnia tego, ale całych stuleci.

Boże — daj Polsce jeszcze jeden wieczór podobny!

Ale nie wystarczy się modlić!

Na zwycięstwo grunwaldzkie złożyła się praca wielu pokoleń, trud i znój całego narodu przez wieki!

I przed Grunwaldem była Polska w podziałach i przed Grunwaldem deptała ją stopa najezdzcy i przed Grunwaldem bywały pogromy i upadek ducha i rozpacz i zwady wewnętrzne, ale przed Grunwaldem była też długie lata trwająca praca twarda na każdem polu nad dźwignięciem narodu.

Od tego i nam zacząć należy.

A gdy Polska cała nietylko obchodami święci jubileusz półwieczny, ale także wytężoną pracą na każdem polu nad podniesieniem narodu, gdy miliony składa na "dar grunwaldzki" gdy buduje szkoły i wciąga, gdzie może całe masy ludu do pracy obywatelskiej, i nam pomyśleć trzeba, czem, w jaki sposób przyśpieszyć możemy wielki tryumf narodu.

Taką była moja myśl przewodnia, kiedy się zabrałem do skreślenia artykułów pod hasłem. "Trzeba z żywymi naprzód iść!" Tą myślą powodowany, zwracam się obecnie do wszystkich, którym przyszłość nasza nie jest obojętną, z serdeczną prośbą, aby rozważyli gruntownie wszystko, co się na dalszych kartkach znajduje.

NASZE ORGANIZACYE.

Co robić, aby spełniały lepiej swoje obowiązki. Dawne hasła dziś już nie wystarczają. Lud polski powinien być pouczony, że nie organizacyom ma służyć, ale w organizacyach, Polsce. — Dziś organizacye nas dzielą, a powinny jednoczyć. — Organizacye winny pracować nie dla siebie, ale dla całego narodu. Dopóki nie zgodzimy się ze zdaniem poprzedniem, nie będziemy nigdy w stanie połączyć wszystkich sił do wspólnego celu. — Ale przedewszystkiem trzeba nam wiary!

Chwalimy się często, że największe polskie organizacye znajdują się w Ameryce, że lud polski w Ameryce dopiero rozwija wyższą obywatelską działalność, dowiaduje się, że jest polskim itd. itd...

Przechwałki te nie mają dziś poważniejszego uzasadnienia.

Należałoby dać spokój przechwałkom, bo te działają zniechęcająco do dalszych wysiłków, a tem samem przynoszą szkody.

Należy skonstatować przedewszystkiem ten fakt naczelny, że dzisiaj lud w całej Polsce, bez względu na kordony, czuje się polskim.

Kto nie wierzy, niech pilnie obserwuje tych chłopów polskich, którzy do nas przyjeżdżają obecnie. Każdy prawie umie czytać, każdy należał do jakiejś spółki czy organizacyi, każdy brał jakiś czynny udział

w spełnianiu obowiązków obywatelskich. Każdy czuje się Polakiem.

A zobaczcie też, jak ci świeżsi imigranci wychowują swoje dzieci po polsku!

Lud polski pod wpływem naszych organizacyi narodowych w Ameryce uświadamiał się narodowo, ale trzydzieści i dwadzieścia lat temu. Niestety, nie uświadamiał się do tego stopnia, aby **zrozumiał, że obowiązkiem jego jest wychowanie dzieci po polsku.**

Drugie pokolenie zrodzone z tych pierwszych wychodźców, które w jednej połowie uświadomiło się narodowo, dopiero pod wpływem polskich organizacyi, a w drugiej wymarło bez uświadomienia, zamerykanizowało się z nielicznymi wyjątkami prawie do szczętu.

Znamy osobiście synów pierwszych osadników, którzy dopiero w ostatnich latach zrozumieli, że mówienie po polsku, to nietylko obowiązek obywatelski i narodowy, ale także potrzeba i interes.

Znamy dalej synów głośnych nawet dawniej patryotów, którzy do dziś słabo mówią lub wcale nie mówią po polsku.

Dopiero dziś jest inaczej!

Dziś nie potrzeba nam już organizacyi, których wyłącznym celem byłoby szerzenie uświadomienia narodowego. Dzieła tego dokonują liczne organizacye ludowe w całej Polsce, a tutaj w Ameryce polska szkoła parafialna!

Celem organizacyi naszych stać się teraz powinno głównie i przedewszystkiem umożliwienie ludowi polskiemu spełniania obowiązków obywatelskich i narodowych.

Chłop polski, który tu obecnie przyjeżdża, wie już dawno, że jest polskim, ale i to wie, że samo powtarzanie "Polakiem jestem" nie miałoby sensu.

Chłop polski chciałby czynem stwierdzać swoją do narodowości polskiej przynależność, jak ją stwierdza tam, na ziemi ojczystej. Tak samo wie o tem młody Polak, tu urodzony, który napatrzywszy się przykładom życia obywatelskiego w otoczeniu amerykańskiem chciałby widzieć to samo między swoimi.

I dlatego charakter naszych organizacyi narodowych i patryotycznych, jeżeli mają odpowiadać zadaniu i potrzebom chwili, musi być gruntownie zmieniony.

Sama nazwa organizacyi patryotycznej, choćby opartej na wypłacie pośmiertnego, choćby ułatwiającej spełnianie obowiązków religijnych, na dziś nie wystarcza i nie może stanowić dostatecznej siły przyciągającej, aby skupiać uświadomionych narodowo obywateli.

Ten stary typ organizacyi przeżył się wszędzie, przeżywa się i u nas.

Potrzeba nam koniecznie pomyśleć o zmianach.

Nie przyjdzie to tak łatwo, jakby się na pozór zdawało.

Ci, których dziś widzimy u steru naszego społecznego życia, nie potrafią już w znacznej większości dostosować się do naszych warunków i wymagań. Wychowali się i wzrośli w innych okolicznościach. Pracy obywatelskiej w Polsce nie widzieli, bo jej tam za ich czasów nie było, pracy obywatelskiej w Ameryce nie zrozumieli, bo na to byli za starzy.

Młodzi, tak ci, którzy dopiero w ostatnich latach przyjechali do Ameryki, jak ci, których wychowały nasze pierwsze zakłady naukowe, chociaż zwolna dostają się już do steru, są jak dotąd w mniejszości i nie mają jeszcze dostatecznego wpływu, aby dokonać zmian do potrzeb dnia dzisiejszego dostosowanych.

Wszelako zbliża się coraz bardziej owa chwila, gdy ster i władza przejdzie w ręce tych młodych, więc też i czas już zacząć głębiej zastanawiać się nad tem, jak uregulować nasze życie, stosownie do nowych potrzeb i wymogów nowych ludzi, z jakich się dziś w znacznej części składa nasze polsko-amerykańskie społeczeństwo.

Zastanówmy się nad tem cokolwiek głębiej!

Powiedzieliśmy wyżej, że celem organizacyi naszych stać się teraz powinno głównie i przedewszystkiem umożliwienie ludowi polskiemu spełnianie obowiązków obywatelskich.

Potrzeba nam organizacyi, w ten sposób urządzonych, i tak wzajemnie się uzupełniających, aby do czterech milionów głów dochodząca ludność polska w Ameryce, coraz silniej odczuwała swoją jedność i swą potęgę, by w poczuciu tej potężnej jedności czerpała nową podnietę do coraz większych wysiłków.

Potrzeba nam organizacyi w ten sposób urządzonych, **by członek każdej, należąc chociażby do jednej tylko, czuł się przez nią pożytecznem kółkiem wielkiego mechanizmu, ożywiającego cały nasz organizm społeczny**

Powie ktoś na to: wszak mamy tyle pięknych i wielkich organizacyi, wszak zbudowaliśmy tyle kościołów, szkół, tyle dzielnic polskich po miastach, tyle farm, kolonii polskich, bibliotek, czytelń, spółek, przeróżnych interesów.

Wszystko to prawda, ale prawdą jest także i to, że wszystko to zbudowane zostało siłą tego potężnego, żywiołowego odruchu, który się zrodził w każdej większej gromadzie wychodźców, a parł do wysiłków, często nawet nadludzkich, by dokoła siebie stworzyć warunki, chociaż w części podobne do tych, wśród jakich żył po tamtej stronie oceanu.

Skoro jednak którakolwiek gromada wychodźcza uporała się z tem pierwszem zadaniem, instykt niepoparty wyrozumowaną wolą, nie pchnięty na jasno rozumem wykreślone drogi, przestawał pracować, a sile naszej żywiołowej, której zawdzięczamy i parafie i organizacye nasze, przeciwstawiła się żywiołowa siła inna, daleko potężniejsza, bo na organizacyi państwowej oparta, a tą jest amerykanizacya...

I ta nas zmaga!...

Do dziś nie potrafiliśmy się na to zdobyć, aby przeciwstawić jej organizacye i parafie w ten sposób urządzone, by członek, **należąc chociaż do jednej tylko, czuł się przez nią kółkiem wielkiego mechanizmu, ożywiającego cały nasz organizm społeczny.**

Bo proszę rozglądnąć się tylko do koła:

Czy członek jednej parafii interesuje się sprawami innej, czy zabolały go kiedy jej kłopoty, czy potrafił je odczuć w mierze dostatecznej, czy co gorsza, nie cieszył się jej niepowodzeniem?...

A w organizacyach, — czy zamiast wzajemnego wspierania się wszystkich, nie mamy raczej wzajemnego zwalczania się, które często przekracza wszelkie granice...

Trawi nas ciężka, chroniczna choroba, którą już dawniej nazwałem "parafiańszczyzną", a która w każdej parafii, w każdej organizacyi, każe nam widzieć "Polskę w zmniejszeniu".

I zamiast jednej, czteromilionowej, nowej a potężnej Polski w Ameryce, którąby zdolną była oprzeć się najpotężniejszemu naciskowi amerykanizacyi, mamy ich tutaj tysiąc, tysiąc razy słabszy stawiających opór naporowi asymilacyjnemu ze strony otoczenia!

Bielmo mamy na oczach!

Parafiańszczyzna ta nie pozwala nam widzieć całej naszej potęgi, pozbawia największego dobra w

każdej walce, którem jest wiara we własne siły!

Znam związkowców, dla których potężnienie naszych parafii, wzrost parafialnych szkół, rozbudzenie się narodowego ducha w parafialnych organizacyach i towarzystwach, jest prawie niczem. Patrzą na to wszystko z niechęcią, jest im to wszystko tak jakieś obce, że jakby aż nie polskie. Po za własną organizacyą nie widzą nic zgoła!

Wejdźmy w duszę takiego związkowca.

Jest tam jedno uczucie, niewątpliwie szlachetne, a tem jest pragnienie, by jego organizacya, w którą wierzy, że jest najlepsza, stała się jak najpotężniejszą, by ogarnęła wszystkich, by przez i za jej pośrednictwem Polacy w Ameryce spełnili wszystkie obowiązki.

Zanalizujmy to uczucie.

Nazwaliśmy je szlachetnem i jest niem niewątpliwie i bez zastrzeżeń, ale mimo to, ile się rodzi z niego zła, już nie tylko dla sprawy ogólnej, ale i dla jednostki, która go w sercu swem pielęgnuje!...

Związkowiec tak czujący, patrzy przedewszystkiem z ogromnem lekceważeniem na wszystko, co się dzieje po za granicami jego organizacyi. A dzieją się tam przecież rzeczy, które dumą i pociechą mogłyby napełnić każde polskie serce. Wszak po za Związkiem jest całe szkolnictwo nasze, po za Związkiem są kościoły, jest jeszcze milionowy lud, który mimo wszystkiego, robi wielkie postępy na drodze narodowego uświadomienia, są tysiączne wysiłki, podejmowane dla ogólnego dobra...

Nie odczuwać tego wszystkiego, nie cieszyć się, nie smucić wraz z innymi, to znaczy dobrowolnie usuwać się z pełni społecznego życia, to znaczy odrębywać własnowolnie z tratwy naszej społecznej, pływającej na amerykańskiem morzu, te belki, na których zbudowano Związek Narodowy.

I na cóż w tem oświetleniu wychodzi owo szlachetne uczucie, żywione w sercu Związkowca dla swojej organizacyi?...

Oto wyrzucił ze serca swego miliony braci i ich sprawy; oto doszedł do tego, że każdy ich krok na drodze rozwoju i pomnażania ogólnego majątku naszego, nie tylko go nie cieszy, ale sprawia ból jakiś, bardzo z owym bólem pokrewny, jakiego doznajemy na widok wzrostu potęgi przyrodzonego wroga i przeciwnika...

Oto, do czego doprowadza nas ta parafiańszczyzna...

Bo to samo, co ze Związkiem i związkowcami, dzieje się z członkami wszystkich innych organizacyi i parafii.

Wzrost, rozwój i potężnienie innych, nie cieszą, jak powinny... ale bolą!

Piszący te słowa, szukając ilustracyi do swoich twierdzeń, z rozmysłem wysunął Związek Narodowy na front, dlatego, że będąc jego czynnym członkiem, pracując dla jego rozwoju i stawiając tę organizacyę zgodnie z większością jej członków, na pierwszym planie, pragnął by też, aby pierwsza uświadomiła w sobie ten ogólny błąd zasadniczy i aby pierwsza dała przykład wyrozumowanego przystosowania się do tego, co nam w rzeczywistości niesie życie i rozwój stosunków.

Ani Związek N. P. nie pochłonie innych organizacyi, ani nawet projektowany Związek Jedności nie pochłonie Związku N. P.; rozum zaś wszystkim chyba mówi wyraźnie, że w miejsce wysilań, w kierunku wzajemnego zwalczania się — powinniśmy obecnie wytężyć całą siłę myśli i woli do tego celu, **by każdy Polak, należąc, chociażby tylko do jednej organizacyi,**

czuł się przez nią pożytecznem kółkiem wielkiego mechanizmu, ożywiającego cały nasz organizm społeczny.

Tak, jak nie rozumiem, dlaczego członek Z. N. P. ma się wyrzekać pewnego zadowolenia na wieść o budowie nowych szkół, nowych kościołów, rozwoju Zjednoczenia P. R. K. itd. itp., tak też pragnąłbym, aby każdy Polak poza Związkiem Narodowym cieszył się z tego, że organizacya ta coraz lepiej spełnia swoje zadanie, coraz więcej zakłada czytelń, coraz więcej bibliotek i najrozmaitszych instutucyi, społeczeństwu polskiemu w Ameryce potrzebnych.

Pierwszym warunkiem zmiany na lepsze w kierunku wyżej określonym jest to: **abyśmy przestali uważać organizacye nasze za cel, a uznali je za to, czem są istotnie, za środek do celu, który jest jeden tylko: służba Polsce.**

Z pracą naszą w organizacyach, **trzeba nam wyjść po za ich granice,** z tą myślą, że korzyść z tej pracy powinni mieć nie tylko ci, co do nich należą, — ale wszyscy Polacy.

Niech organizacya parafialna budując kościół i szkołę, nie zamyka drzwi pierwszego i drugiej dla tych, którzy do niej jeszcze nie należą; niech się murem chińskim od reszty nie odgranicza.

Niech towarzystwo, zakładające bibliotekę i czytelnię nie zamyka drzwi przed niecziłonkami.

Niech każda organizacya i każde towarzystwo myśli o tem, by wznosić i budować coraz więcej **zakładów i instytucyi, które rozumie się, pod ich kontrolą, służyłyby całemu ogółowi.**

Od tej myśli zasadniczej, na której opiera się każda służba publiczna, odzwyczailiśmy się w Ameryce. Hasłem dla nas było: **moje — dla mnie!**

Na tej zasadzie oparte, wzrosły i rozwinęły się nie tylko nasze organizacye ubezpieczeniowe, ale także kościoły i szkoły.

Trudno, rozumie się, wymagać było dawniej, albo i dzisiaj, aby organizacya ubezpieczeniowa wypłacała pośmiertne tym, którzy do niej nie należą i nie płacą podatków; tu wchodzi w grę zupełnie zrozumiały interes, ale nie mniej jest faktem, że wskutek przyzwyczajenia coraz częściej, bezwiednie nawet, przyuczyliśmy się używać tej miary także do wszystkich innych instytucyi i organizacyi, które przecież zupełnie inaczej pojmować by należało.

Nie pomylę się bodaj twierdząc, że właśnie dzięki takiemu pojmowaniu, nie potrafiliśmy się zdobyć na jedną, chociażby większą organizacyę [z wyjątkiem może Sokolstwa], która służyłaby całemu wychodźtwu, nie sobie.

W Polsce, chociaż pozbawionej bytu państwowego, kościół, szkoła i wszystkie instytucye oświatowe, **to wspólny majątek, wspólny dorobek całego narodu.** U nas, — potwierdzając fakt, że każda organizacya jest "Polską w zmniejszeniu", jest to własność poszczególnych organizacyi, lub też towarzystw, wyraźnie i na każdym kroku zazdrośnie zastrzegana i przestrzegana.

Dlatego raz jeszcze powtarzam:

Z pracą naszą w organizacyach, trzeba nam wyjść po za ich granice, z tą myślą, że korzyść z tej pracy powinni mieć nie tylko ci, co do nich należą, — ale wszyscy Polacy.

Ale do tego potrzeba jeszcze wiary!

Wiary w siły nasze, wiary w siłę naszego Narodowego Ducha.

Wiary w to, że wysiłki nasze nie idą na marne, **że budujemy i zbudujemy tu nową, wiecznotrwałą, za-**

sobną, liczną i duchem patryotycznym do głębi przejętą dzielnicę Polski.

I ta wiara budzi się w nas co raz to silniej, trzeba ją tylko gruntować, trzeba świadomie apostołować, pogłębiać i nawoływać masy, co raz to szersze, **do pracy w wierze, do czynów wiarą przejętych.**

Dawniej wiary takiej nie było!

Nawet założyciele Związku Narodowego Polskiego, budując tę organizacyę, nie myśleli o **budowaniu Polski w Ameryce.**

Założyli **organizacyę polityczną** z tą wiarą, że jeszcze oni, jej założyciele i późniejsi emigranci, sami, za własnego życia, będą mogli skutecznie pomoc nieść ojczyźnie, choćby z bronią w ręku. Zaś mimo całego patryotyzmu swego byli tak pewni, że następne pokolenia zginą w morzu amerykańskiem, że nawet swoich dzieci nie wychowali po polsku... Marzenia ich nie ziściły się co do owej pomocy ojczyźnie, natomiast zaszło coś, zupełnie przez nich nieprzewidywanego, — **oto synowie ich zamerykanizowanych synów i córek, uczą się dziś języka polskiego.**

Ten sam brak wiary ujawnił się też u fundatorów pierwszych polskich kościołów i szkół.

Świadczą o tem, choćby owe kamienie węgielne z napisem, jeżeli nie angielskim, to łacińskim, przekręcające imiona polskich patronów.

Zobaczmy dzisiaj: nie na węgielnym kamieniu, ale na najwidoczniejszem miejscu, możliwie największemi literami ryje się napisy: to kościół, to szkoła polska.

Objawy zaufania w nasze siły mnożą się, ale na dnie wielu dusz, tkwią jeszcze resztki dawnej niewiary, tkwi pewien lęk przed nieznaną przyszłością i ztąd rodzi się rachuba z tem, bliżej jeszcze nieznanem, co jednak może się stać, gdy się wynarodowimy.

Jakże inaczej działoby się u nas, gdybyśmy z całą siłą woli mężów dojrzałych chcieli sobie powiedzieć, że czeka nas i nasze następne pokolenia taka przyszłość, jaką sami zgotujemy, że losy przyszłych pokoleń od nas zależą i jaki my położymy fundament, jaki wyryjemy napis, taki pozostanie przez wieki.

Zdobyliśmy się na polskie napisy na kościołach, na szkołach i na innych gmachach publicznych, ryjmy je teraz w duszach.

Wieki asymilacyi i masowego wynaradawiania się ludów minęły bezpowrotnie, a pojęcia narodu nowożytnego nie stanowią granice etnograficzne i jedność polityczna, **ale jedność kultury, jedność wiary, a wreszcie osobiste przekonanie każdej indywidualnej jednostki.**

Ojczyzna nasza znajduje się nie tylko tam, w Europie, ale także tu w Ameryce, w nas samych, w naszej polskiej krwi, w naszych polskich duszach, które dziedziczą z nas także dzieci nasze.

A te dzieci nasze takiemi będą, jakiemi my postanowimy, aby były, takiemi będą, w jakiej tradycyi ich wychowamy i jaką im przekażemy.

Jeden z największych myślicieli, A. Comte, krystalizując pojęcie ojczyzny, pozostawia zupełnie na boku jej etnograficzne granice i powiada: "Dopiero od chwili, gdy się poznaje, że się ma wspólnych zmarłych, którzy nami rządzą, dopiero od tej chwili ma się Ojczyznę."

My przybysze do tego kraju, wiemy, jakich mieliśmy przodków, w duszach naszych tak wyraźnie odbił się ich rozkaz dochowania wierności, że zostaniemy mu wierni do końca życia. Ale jakże możemy się spodziewać od następców naszych wierności, gdy targani niewiarą, nie zdobędziemy się na takie samo jasne wyraźne i dobitne sformułowanie rozkazu.

Nie ma tu bodaj pomiędzy nami nikogo, któremu by ktoś przed odjazdem nie uprzytomnił tego nakazu, tych w grobach spoczywających: **A nie zapomnij, a nie strać wiary!**

I pod hipnotycznym wpływem tego nakazu, żyjemy wszyscy wierni ojczyźnie. Trzeba atoli pamiętać, że w nakazie tym tkwiła siła przekonania i wiary całych pokoleń. Nie straci ona swej mocy, gdy sami wiarę tę utrzymamy. W niej trzeba żyć, w niej trzeba umierać.

"Wola naszych zmarłych przodków ożywia i zapładnia wolę żyjących; — powiedział niedawno Zygmunt Balicki w swych "Zasadach wychowania narodowego" — trzeba, żeby się ona spełniła, a wtedy spełna się dziejowe zadanie narodu. Żywe obcowanie ze zmarłemi pokoleniami, oto czem powinna być historya ojczysta dla młodzieży, jeżeli ma być rzeczywistą podstawą jej patryotyzmu, zadatkiem ścisłego jej zespolenia z tą Ojczyzną, która była, jest i będzie."

My w Ameryce znajdujemy się w tem położeniu, że kładziemy nowe podwaliny do tej historyi, o której mówi Balicki, i pamiętać nam trzeba o tem, aby miały one jak najwięcej wspólnych cech z tymi, w których wyrosło nasze pokolenie. Zanim nas dzieci nasze w grób złożą, zanim odejdziemy kolejno tam, skąd się nie wraca, trzeba naprawić dotychczasowe błędy z nieświadomości przeważnie płynące i spełnić obowiązek, którego duchy ojców od nas żądają, trzeba następcom naszym zostawić tak przygotowany grunt, aby mogli dalej w przez nas wyznaczonym kierunku pracować. Oni — choćby nawet mądrzejsi byli od nas, sami już tego nie potrafią, i jeżeli my z wiarą tych podwalin nie położymy, urwie się ogniwo łańcucha i wszystko może pójść na marne.

Powtarzam: wiary potrzeba!

Nie wierzący, mówią nam i ciągle powtarzają, jakże wy chcecie, aby dziatwa tu urodzona i wychowana kochała Polskę, której nie zna, której nigdy nie widziała...

Ależ — powtarzam raz jeszcze z naciskiem tym niewierzącym: Polska dla tej dziatwy naszej, to my, to ci, co powznosili te szkoły, te kościoły, to ci, co powołali do życia te wspaniałe organizacye, to ci, co zostawili jej wreszcie cały dorobek pracowitego życia, wprowadzając ich na te same drogi.

Polska dalej dla tej młodzieży, co Polski nie zna, to nasz język ojczysty, ten łącznik pokoleń, to żywe ogniwo łączące nas w jeden naród. Młodzież nasza, choć Polski nie zna, zrozumie, gdy ją pouczyć o tem potrafimy, że język polski, którym mówi, służy nie tylko do wyrażania codziennych zwykłych myśli, ale że w nim się objawił w całej swej wspaniałości Duch Narodu, zaklęty w przeogromnej i przewspaniałej **literaturze polskiej**, a jego skarby są tak samo dostępne każdemu tutaj, jak i na ziemi ojczystej.

My mamy możność pokazania dziatwie naszej, następcom naszym tej Polski, którą sami kochamy w takiej samej wspaniałej okazałości, jaką jest i tam, za morzem; my mamy możność wychowania jej na jak najlepszych patryotów, ale tak samo jak tam, wychowują się też zdrajcy i odstępcy i nieznający swej ojczyzny, chociaż żyją na jej ziemi, tak samo i tutaj, jeżeli z wiarą do pracy tej się nie zabierzemy, samo z siebie nic się nie dokona.

Trzeba nam wiary rodacy!

Nie wiary ślepej, ale tej, z rozumu płynącej, która mówi: wierzę, bo wiem. Ażeby zaś wiedzieć, trzeba się uczyć i trzeba rozmyślać.

Dzięki Bogu zrobiliśmy już na tem polu jeden krok naprzód: Dawniej manifestowaliśmy naszą niewiarę publicznie, dziś, kto jeszcze na wiarę się nie zdobył, z niewiarą się ukrywa...

CZY JESTEŚMY DOBRYMI OBYWATELAMI STANÓW ZJEDNOCZONYCH?

Wymiana usług w życiu społecznem i jej znaczenie. Organizacye nasze wykluczyły tak zw. "politykę amerykańską" ze swego programu. — Jaki tego rezultat? — Jak błąd naprawić? — Polacy w Buffalo wskazują drogę.

Podstawą wszystkich urządzeń społecznych w całym cywilizowanym świecie, jest dzisiaj wymiana usług.

Minęły bezpowrotnie te czasy, kiedy każdy o sobie tylko myślał, i późniejsze, kiedy łączył się tylko pod grozą, albo najazdu wrogów, albo nakazu z góry.

Dziś już nie tylko bronić się, ale nawet żyć bez wymiany usług ludzkość nie może, a im który naród na wyższy stopień ciwilizacyi się wzbija, tem wymiana usług wzajemnych w jego organizacyi społecznej jest częstszą i wszechstronniejszą.

Na wymianie usług — na realnej dla każdego widocznej korzyści wzajemnego zbliżenia się wyrasta zwykle owa głęboko odczuwana potrzeba łączności jak najściślejszej.

Okazyi do takiej wymiany usług, dostarcza nam samo życie, codzień i dostarczać jej będzie niewątpliwie zawsze.

W stosunku naszych organizacyi do siebie nie widzieliśmy tych okazyi dotychczas, bo leżały przeważnie po za linią ich programu.

Na odwagę przekroczenia tych linii, zdobyła się niedawno kolonia buffaloska, przez zorganizowanie komitetu, w skład którego weszli reprezentanci różnych organizacyi naszych, w celu ujęcia w swoje ręce steru interesów kolonii polskiej wobec władz miejskich, powiatowych itd.

Wszystkich ludzi myślących fakt ten ucieszył niezmiernie, a jeszcze więcej ucieszyło ich to, że prasa nasza, chociaż w znacznej części nie zdawała sobie dokładnie sprawy z ważności tego kroku, przyjęła go na ogół przychylnie, zachęcająco.

"Gazeta Polska" składając reprezentantom kolonii polskiej w Buffalo gratulacyę z tego powodu, życząc im wytrwałości, miała na myśli nietylko owe korzyści, które będą mieć Polacy w Buffalo zamieszkali, ale także i wszyscy Polacy w Ameryce, mając przed oczyma żywy przykład z życia, godzien ze wszech miar naśladowania.

Bo Polacy w Buffalo nietylko udowodnili nam, że są sprawy, przy których spotkać się i pracować mogą i powinni reprezentanci wszystkich naszych organizacyi, oni dokonali daleko więcej, **oni odrazu, praktycznie rozszerzyli program i zakres działania tych organizacyi.**

Związek, Zjednoczenie i Unia, do których należą, trzymają się jak wiadomo zdala od wszelkiej "polityki" — jak tu w Ameryce nazwaliśmy udział w życiu społecznem i obywatelskiem tego kraju.

Miały te organizacye swoje powody i racye bardzo poważne, że tak, a nie inaczej postanowiły; zakładano je przecież nie dla polityki amerykańskiej, ale w pierwszym rzędzie, dla skupienia żywiołu polskiego,

dla uświadomienia go narodowo i ułatwień w spełnianiu religijnych i narodowych obowiązków.

Po wtóre, organizacye te, jako takie nie mogły też brać żywego udziału w polityce, choćby ze względu na to, że grupy ich rozrzucone po różnych Stanach, bardzo różnie się na tę sprawę zapatrywały, że wreszcie ich członkowie należą do jednej lub drugiej wielkiej partyi krajowej — więc aby jednym i drugim dogodzić, uznano za najlepsze wstrzymać się od zabierania głosu w tej sprawie.

I cóż się stało?

Oto życie przeszło do porządku dziennego nad tem postanowieniem.

Sprawę niezmiernie żywotną, którą zająć się nie chciały najlepiej uświadomione jednostki, ujął w swoje ręce **politykier wardowy** i wszyscy widzimy, co się dzieje...

Organizacye nasze jako takie i dzisiaj, tak samo jak i wczoraj nie będą mogły zajmować się polityką, bo z wielu względów jest to po prostu niemożliwe, ale jest inna droga, na której najtęższe jednostki nasze reprezentujące je, mogą to uskutecznić.

Drogę tę całej amerykańskiej Polonii wskazali Polacy w Buffalo.

Droga tem szczytniejsza, że wskazuje wyraźnie wszystkim reprezentantom organizacyi zupełnie nowe pole pracy wspólnej dla dobra ogólnego.

Jeżeli kolonie nasze zechcą pójść śladem buffalowian, to w przeciągu niedługiego czasu podniesie się znacznie poziom etyczny całego naszego ogółu, zmieni się z gruntu nasz stosunek do innych obywateli tego kraju, **bo skończy się panowanie wardowego politykiera,** który w oczach Stanów Zjednoczonych jest naszą hańbą.

Za fakt, że urobił się między nami, i że się tak strasznie rozpanoszył typ wardowego politykiera, odpowiedzialnem jest całe społeczeństwo nasze, które przez swoje tak cywilne, jak i wyznaniowe organizacye, cofnęło się od udziału w życiu obywatelskiem tego kraju. "Politykę" wysunęliśmy po za nawias naszego społecznego życia i skutkiem tego, żyliśmy że się tak wyrażę, życiem podwójnem. Między sobą stojąc etycznie wyżej nawet, niż ogół amerykański tej samej klasy, przedstawialiśmy się otoczeniu, jako "bydło głosujące" — które lada politykier za szklankę piwa mógł sobie skaptować.

I rzeczywiście kaptował, bo stał po za kontrolą ogółu, po za kontrolą tych wszystkich, którzy bądź co bądź znaczny wywierają na ogół wpływ i mają u niego pewien szacunek i poważanie.

Politykier wardowy w Buffalo, przez całe szeregi lat w poniewierkę dawał imię polskie i doprowadził do tego, że ośmdziesiąt tysięczna Polonia tamtejsza nie miała żadnego wpływu i znaczenia, doprowadził wreszcie do tego, że szerszy ogół na politykę amerykańską patrzał z obrzydzeniem, że nie dbał o obywatelskie papiery, o obowiązki obywatelskie, że uważał to wszystko, za "amerykański humbug".

I dzisiaj, po tej zmianie, jaką w życie społeczne wprowadzają reprezentanci tamtejsi naszych wielkich organizacyi, nie odrazu da się usunąć politykier wardowy ze swojego stanowiska, — ale odrazu dostaje się pod kontrolę rzeczywistych reprezentantów społeczeństwa, a to samo znaczy już bardzo wiele.

Z drugiej strony, ciało tak poważne, jakiem jest komitet reprezentujący towarzystwa trzech wielkich organizacyi, potrafi niewątpliwie zainteresować daleko szersze masy sprawami miasta i kraju, a przez to samo stwarza się nowa szkoła obywatelskiego życia

dla naszego ludu, nowe pole do pracy wspólnej, na którem dowodnie będzie się mógł przekonać — jaką wielką posiada siłę, gdy występuje zbiorowo.

Oto jest jedno pole, **na którem z pracą naszą w organizacyach, możemy wyjść po za ich granice, z tą myślą, że korzyść z tej pracy powinni mieć nietylko ci, co do nich należą, ale — wszyscy Polacy.**

Są atoli i inne!

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY.

Czy zdobędziemy się na taką organizacyę w roku grunwaldzkim? — Projekt p. Michała Kruszki z Milwaukee. — Dlaczego prasa nasza przechodzi po nad nim do porządku dziennego.

Polonia amerykańska w ostatnich latach szczycić się naprawdę może pięknie rozwijającem się dziennikarstwem, które pomimo usterek, jakie jeszcze posiada, mimo swarliwości swych redaktorów, mimo swej różnorakiej zależności, spełnia jednak wielkie jedno posłannictwo, którem jest rozbudzanie świadomości narodowej, bardzo dobrze.

Inaczej przedstawia się rzecz, gdy idzie o poparcie jakiejś zorganizowanej akcyi, wymagającej pomocy całego społeczeństwa.

Od czasu, kiedy powstała i rozwinęła się prasa polska w Ameryce, było kilka takich chwil i kilka takich spraw, które uzyskały jednogłośną sankcyę i poparcie gazet, niestety, na czas bardzo krótki, bo już nazajutrz wyłaniała się różnica zdań, a często nowa gorsząca polemika i kłótnia.

Czyżby naprawdę w życiu społecznem naszem nie było ani jednej sprawy godnej wspólnego poparcia wszystkich?... Czyżbyśmy naprawdę zgodzić się nie potrafili przynajmniej czasem, przynajmniej

na jedną, dwie sprawy, dla zapewnienia im solidarnego poparcia?...

Owszem, dałoby się to zrobić, nawet częściej, niż przypuszczamy, ale więcej niżeli wszystkie inne, więcej niż z życia wypływające sprzeczności, staje tu na **przeszkodzie brak jakiegokolwiek zbliżenia i porozumienia** się pomiędzy samymi dziennikarzami.

Stowarzyszenie prasy i pracowników pióra, jest nam niezbędnie i koniecznie potrzebne. Przemawia za tem tak interes własny wszystkich dziennikarzy, jak i całego ogółu.

Sprawa jest tak wielkiej wagi, że wszyscy zwolennicy projektu założenia takiej organizacyi, powinni, złożywszy na stronę wszystkie urazy osobiste, wszelkie uprzedzenia i nienawiści partyjne, podać sobie ręce i przystąpić do organizacyi, która z czasem przyciągnąć może i resztę kolegów.

Ostatnim, który ponownie, a w sposób bardzo przekonywujący, zabrał głos w tej sprawie, jest jeden z najstarszych dziennikarzy, wydawców, p. Michał Kruszka z Milwaukee.

Pomimo, że jego artykuł, omawiający tę sprawę, pojawił się dość dawno, jak dotąd, nie widać, żeby zainteresował tych, do których był zaadresowany. Przechodzą po nad nim do porządku dziennego, bo — chwilowo antypatyę czują do jego autora.

Nie dowodzi to jednak, że sprawa już została ubita. Każdy, kto dłużej obserwuje nasze życie, wie, że takie antypatye nie są zbyt długotrwałe. Widzieliśmy już nieraz w naszym świecie dziennikarskim takie zmiany sympatyi i antypatyi, że i dziś nie można przewidzieć, kto za rok będzie czyim wrogiem, czy przyjacielem...

Nie zważając więc na to, że dziś prasa nasza w milczeniu przeszła do porządku dziennego po nad odez-

wą pana Michała Kruszki, podnosimy ją ponownie w tej broszurce pod hasłem:

...Trzeba z żywymi naprzód iść!

aby jak najwyraźniej zadokumentować, że praca społeczna wogóle byłaby niemożliwą, bez wzajemnych ustępstw i bez pewnego zaparcia się własnych poglądów.

Na wstępie do tego rozdziału podniosłem ważne znaczenie projektu zorganizowania dziennikarstwa dla interesów naszego ogółu. P. Michał Kruszka wykazał bardzo dobitnie jego znaczenie dla samego dziennikarstwa, a uczynił to w sposób następujący:

"Mój program organizacyi nie ogranicza się do wydawców. Bynajmniej. Obejmuje on bardzo ważne czynniki w dziennikarstwie: **redaktorów**. Jeżeli kto, to redaktorzy, redakcyjni współpracownicy gazet, powinni się zorganizować, im prędzej tem lepiej, bo tylko zapomocą organizacyi mogą się stać ludźmi niezależnymi, poważnymi pracownikami, należycie opłacanymi.

Przypatrzmy się doli dzisiejszych redaktorów polskich:

W gazetach narodowych niezależnych, traktowani są dosyć dobrze. Nikt tam od nich nie wymaga, aby pisali przeciw własnemu przekonaniu, bo każdy polski redaktor jest mniej lub więcej narodowcem. Nikt tam od nich nie wymaga, aby się kłócili; a jeśli to czynią, to z własnej woli, bo każdy polski redaktor jest — jak żołnierz — zawsze skory do bitki.

Lecz w organach różnych organizacyi, redaktorzy i ich współpracownicy tracą już znaczną część swej niezależności, muszą pochlebiać kierownikom organizacyi przeciw swemu przekonaniu i kłócić się z innymi przeciw swemu przekonaniu.

Najgorzej zaś stoją pod tym względem redaktorzy niektórych organów klerykalnych. Tam muszą często zaprzedawać swe przekonania za chleb, udawać zagorzałych klerykałów, bić w narodowców, służyć za "landsknechtów" wielebnym wydawcom".

[No, tak znowu źle nie jest i szkoda, że autor użył tego argumentu, bo nim mógł zniechęcić dla projektu tych, którzy będą uważali, że do nich pito.]

Ale czytajmy, co dalej pisze:

"Czyż to nie okropnie poniżające dla człowieka wykształconego, inteligentnego?

A jaka za to zapłata?

Stosunkowo, poprostu nędzna, bo często o wiele niższa od płacy robotnika mechanicznego!...

A jaki los czeka redaktorów polskich na starość?

Szpital powiatowy, albo przytułek dla biednych.

Na to nie powinni przystać sami redaktorzy. Na to nie powinno zezwolić społeczeństwo polskie; bo bądź, jak bądź, ani polskość nasza, ani patryotyzm nasz, ani dobrobyt nasz nie byłyby ani w połowie tak rozwinięte, gdyby nie gromadka niestrudzonych szermierzy pióra, redaktorów polskich w Ameryce.

"Pojedynczy wydawca, choćby chciał coś więcej dla redaktorów uczynić, nie może, bo musi konkurować z tymi, którzy płacą redaktorom głodowe ceny. Gdy wszyscy wydawcy będą zmuszeni płacić redaktorom przyzwoite pensye, wszyscy też będą mogli je płacić

" Dlatego redaktorzy polscy w Ameryce powinni się pomiędzy sobą porozumieć i zorganizować. A głównymi celami ich organizacyi być powinno:

Wszelkie osobiste kłótnie dziennikarzy mają być z polemiki wykluczone, czy to w artykułach, czy w korespondencyach;

Żaden redaktor nie ma pisać ani umieszczać żadnego złego słowa na jakiegobądź współpracownika ga-

zety; wydawcę, redaktora, zarządcę, korespondenta, agenta, lub innego współpracownika.

Żaden wydawca nie ma żądać od redaktorów pisania osobistych kłótni, ani też wymagać, ażeby redaktor pisał artykuł przeciw swemu przekonaniu.

Najniższa skala płacy redaktorów ma być ułożona przez komitet stowarzyszenia redaktorów i komitet stowarzyszenia wydawców.

Założony ma być fundusz, z którego mają pobierać pomoc, starzy, osłabli lub schorzali redaktorzy. Na ten fundusz ma być przeznaczona część pensyi redaktorów; a zarazem mają być zbierane składki od pojedynczych osób i organizacyi, aby zabezpieczyć pomoc w starości i w chorobie tym, którzy niewątpliwie dla społeczeństwa polskiego bardzo wiele zdziałali."

Na podkreślone powyżej główne cele organizacyi, sądzimy, że zgodzić się musi każdy uczciwy i przyzwoity dziennikarz.

Że zaś zgodna praca podobna, nietylko redaktorów ale i wydawców, możliwą jest, udowadnia sam p. M. Kruszka, przykładem następującym.

"W Milwaukee istnieje 5 codziennych gazet angielskich. Jeszcze kilka lat temu wydawcy, redaktorzy i zarządcy tych dzienników walczyli ze sobą prawie tak samo, jak dotąd polscy; wyzywali się publicznie, oczerniali, psuli jeden drugiemu interes; jeden do drugiego nie mówił, jeden na drugiego nie patrzał. Stosunki takie były i dla polskich i dla niemieckich dziennikarzy przykre. Traciliśmy wszyscy na tem. Trzy lata temu, stawiłem jednemu z zarządców angielskich pytanie, czyby się nie dało zbliżyć do siebie wydawców angielskich, a może nawet zorganizować się, ów zarządca podjął tę myśl i zaprosił wszystkich wydawców na wspólny bankiet. Nie wszyscy przyszli,

nie wszyscy sobie chętnie rękę podali. Lecz suty obiad i napitki zrobiły swoje.

"Powoli oswajano się, po czterech godzinach pogadanki organizacyę wydawców dzienników milwauckich jakoś sklejono. Najstarszy wiekiem wydawca jednego z dzienników angielskich został obrany prezesem, moja polska małość wice-prezesem, a współwydawca dziennika niemieckiego sekretarzem. Z początku szło jeszcze trudno, stare uprzedzenia i zwady ciągle jeszcze przeszkadzały. Ale zatargi z niektórymi uniami drukarskimi i ciągłe straty z powodu bankructw, ogłaszających się, doprowadziły wreszcie wydawców dzienników do przyjaźniejszego porozumienia się i do zrozumienia koniecznej potrzeby silnej organizacyi.

"Po śmierci prezesa obrano mnie prezesem Stowarzyszenia Wydawców Dzienników Milwauckich, do którego to Stowarzyszenia należy pięć dzienników angielskich, 2 niemieckie i jeden polski. Tylko jeden dziennik polski w Milwaukee jeszcze nie należy do tej organizacyi. Skutki tej organizacyi są takie:

Żaden dziennik należący do tego Stowarzyszenia od trzech lat nie umieszcza najmniejszej zaczepki osobistej wydawcy, redaktora, lub jakiegobądź innego wspópracownika gazety codziennej, należącej do Stowarzyszenia, ale każdy stara się o wytworzenie jak najprzyjaźniejszych stosunków;

Żaden dzienik stowarzyszony nie psuje cen ogłoszeń, ani nie szkodzi w dziale byznesowym żadnemu innemu stowarzyszonemu dziennikowi, ale owszem pomaga;

Wszyscy wydawcy i współpracownicy redakcyi i działu ogłoszeniowego należą do wspólnego Klubu Prasowego;

Wszelkie ugody z uniami bywają załatwiane nie pojedynczo przez każdy dziennik, ale przez Stowarzyszenie Wydawców Dzienników w imieniu wszystkich dzienników.

Żaden dziennik nie daje dyskonta, nawet w razie bliskiego bankructwa, ogłaszającego się; sprawy takie załatwia Stowarzyszenie albo zarząd Stowarzyszenia w imieniu zainteresowanych.

Wskutek takich i innych reguł, wydawcy stow. dzienników nie mają ani pół tyle kłopotu, co mieli. Agenci ogłoszeniowi nie psują jeden drugiemu interesu, ale pomagają sobie wzajemnie, dostają lepsze ceny; dochody dzienników powiększyły się; rozchody są więcej uregulowane; a stosunki stokroć przyjemniejsze niż dawniej.

Tyle już zdziałało Stowarzyszenie Wydawców Dzienników Milwauckich w trzech latach.''

Nie widzimy racyonalnej przyczyny, dla której w stosunkach polskich rezultat miałby być innym.

Może ten wielki rok rocznicy Grunwaldzkiej, rok wytężonej, podniosłej pracy dla dobra ogólnego w Polsce i na wychodźtwie innemi myślami natchnie także redaktorów, wydawców i dziennikarzy naszych — może oni, i przedewszystkiem oni zrozumieją to hasło:

Z żywymi naprzód iść!

"POLSKA KOMISYA KOLONIZACYJNA."

Co pisze w tej sprawie ks. Cynalewski. — Projekt spółki kolonizacyjnej. — Organizacye i prasa przechodzą po nad tem do porządku dziennego. — A jednak to sprawa ważna.

W czasie, kiedy na łamach "Gazety Polskiej" omawiać zacząłem pod hasłem "Trzeba z żywymi naprzód iść", potrzeby naszego społeczeństwa polskiego w Ameryce, zdarzył się jeden fakt doniosłego znaczenia i wprowadził na porządek dzienny jedną bardzo ważną sprawę, założenia "Polskiej Komisyi Kolonizacyjnej", jak ją nazwał p. J. Kowalczyk, redaktor Polaka Amerykańskiego.

Wystąpił z nią w sposób ściślej i zwięźlej, niż kiedykolwiek przedtem sformułowany, ks. Stanisław Cynalewski w broszurce, której dał tytuł. "Żal mi tego ludu", a który całe dwa lata jeździł po Stanach Zjednoczonych, zrobił, jak powiada 40.000 mil drogi i wzywa społeczeństwo do akcyi wspólnej w sposób gruntownie umotywowany.

A społeczeństwu naszemu nie wolno po nad tą sprawą przechodzić w milczeniu do porządku dziennego. Należy ona do społeczeństwa całego, zająć się nią i poprzeć muszą i powinny wszystkie organizacye i cała prasa, bez wyjątku.

Ks. Cynalewski zwrócił się z prośbą o takie zajęcie do prasy, do duchowieństwa polskiego i do organizacyi polskich nie tylko na kartach wydanej przez siebie broszury ale i w listach osobnych, rozesłanych organizacyom i wszystkim wybitniejszym osobistościom.

Jeżeli listy tė złożono bez odpowiedzi a broszurę bez czytania do aktów, zrobiono źle!

Osobiście nie znam ks. Cynalewskiego, nie rozmawiałem z nim nigdy, ale czytając jego korespondencye w pismach w Polsce, oraz to, co pisały o nim pisma polskie z okazyi zjazdu polskich prawników i ekonomistów w Krakowie, nabrałem do jego osoby dosyć zaufania, aby z uwagą przeczytać to, co i jak pisze, aby nie tylko nad sprawą się zastanowić, ale nabrać ochoty do przyłożenia ręki w sprawie przez niego patronizowanej.

Miejmy nadzieję że broszura rzeczona takie samo wrażenie zrobi na wszystkich, którym się dostanie do ręki, że szerokie, jak najszersze koła dopomogą ks. Cynalewskiemu do uregulowania tej najbardziej piekącej, tej o pomstę do Boga wołającej krzywdy naszego ludu często na dożywotnią niewolę przez niesumiennych agentów skazywanego.

— Wyczytawszy w pewnej gazecie — pisze ks. Cynalewski — że o przeszło trzy tysiące mil od Nowego Yorku zakłada się wielka osada rolnicza na trzymilowym obszarze akrów ziemi; że kompania już ofiarowała kilka działów ziemi pod kościół i szkołę, że jest tam już spora liczba polskich, bardzo zadowolonych rodzin; że założonem zostało polskie towarzystwo; że odbył się obchód listopadowy i tym podobne ponętne dane, podpisane w dodatku dla wiarogodności przez jednego z osiadłych tam już osadników, — pospieszyłem do owej miejscowości.

Lecz o zgrozo! — cóż spotkałem?

Jedną jedyną chałupkę, na niezmiernym stepie, mieszczącą w sobie sześć zrozpaczonych rodzin. Zastałem same kobiety i dzieci, gdyż ojcowie prawie od miesiąca zostawiwszy na los swoje rodziny, poszli gdzieś daleko za pracą, by zarobionemi pieniądzmi ratować drogie im istoty od ostatniej nędzy.

— A wszak tak pochlebną korespondencyę czytałem o tej osadzie, podpisaną nawet przez jednego z waszych mężów — zamówiłem do niewiast.

— Tak, proszę jegomości —odezwała się jedna z nich, to mój podpisał, bo dostał za to kilka dolarów, bez których bylibyśmy tu zginęli od mrozu i zimna. Gdy jednak zarobi na podróż, to powrócimy do miasta B., zkądżeśmy haniebnym podstępem polskiego agenta wywabieni zostali.

Dowiedziałem się, kto jest ów pan agent, który ich tam zwabił i dziwnym zbiegiem okoliczności, w kilka miesięcy później spotkałem go jako sprzedawczyka w pewnym składzie obówia, gdzie pracował jako taki także przed rozpoczęciem owego dzieła polskiej niby kolonizacyi.

Sprzedawczyk obówia, kolonizatorem! Komentarze chyba zbyteczne!

Ks. Cynalewski przytacza cały szereg przykładów podobnego wyzysku!

Wiedzą zresztą o tem wszyscy i bez tego.

Według niego działalność "Polskiej Spółki Finansowej" rozpocząć można, gdy będzie mieć nagromadzonego kapitału $500.000.

Spółka będzie zainkorporowana w jednym ze Stanów Unii północno-amerykańskiej. Będzie to spółka, czyli kompania akcyjna. Akcyi będzie można nabyć tyle, ile kto zechce. Można je kupować miarowo,

to znaczy dziś jedną, za tydzień lub za miesiąc drugą itd. Jak się komu podoba.

Za przesłane pieniądze zarząd spółki prześle deponentowi odpowiednią ilość akcyi.

Jedno jest tylko przy tem zastrzeżenie, a mianowicie: Złożonych pieniędzy w spółce nie można wycofać przed dziesięciu laty. Za to spółka przy wykupieniu akcyi czyli przy zwróceniu pieniędzy, załączy występującemu akcyonaryuszowi przypadającą na każdą akcyę dywidendę, czyli czysty zysk.

A czysty zysk musi być, bo Sp. kupować będzie za złożone u niej pieniądze ziemię i osiedlać będzie na niej osadników. Wiadomo zaś, że nigdzie pieniądze nie są tak bezpieczne, jak właśnie tam, gdzie je ulokowano w ziemi. Ziemię Spółka kupować będzie tylko dobrą, urodzajną, w zdrowej okolicy, sprzyjającej osiedlaniu się rodzin polskich.

Jasną jest rzeczą, że przy takiej transakcyi można zupełnie sprawiedliwie zarobić grube pieniądze, gdyż kupując naraz większe obszary ziemi, można je dostać bardzo tanio. Potem zaś pobudowawszy na niej drogi i podzieliwszy ją na farmy, można ją znacznie drożej sprzedać. A ludzie z chęcią się będą na niej osiedlali, gdyż będą pewni, że nie będą z nich darli skóry wyzyskiwacze obconarodowi.

Ks. Cynalewski pod tym względem wziął sobie za wzór liczne w kraju ojczystym istniejące spółki i banki parcelacyjne.

Wydarły one już naprzód pod Prusakiem niejeden szmat ziemi z rąk niemieckich i rozparcelowały go między lud polski, między polskich rolników. Podobnie robią obecnie tak w Galicyi i Królestwie Polskiem.

A takie spółki i banki robią znakomite interesa i płacą swym wspólnikom czyli akcyonaryuszom znaczne dywidendy, czyli zyski.

Czemuż-by nie dało się tak samo zrobić w Ameryce. W takim np. Wisconsinie lub Michiganie są olbrzymie obszary ziemi tanio do nabycia. Gdyby się znalazła spółka polska, możnaby przy jej pomocy osiedlić na nich tysiące i tysiące farmerów polskich. Wiadomo zaś, że im więcej ludzi gromadzi się na pewnym obszarze zemi, tem więcej wartościową staje się ona, czyli tem wyżej idzie jej cena w górę. Cena ziemi pierwotnie nabytej np. $10 za akier, już po kilku latach idzie w dwójnasób w górę. Jasna więc rzecz, że tu tylko zarobić a nigdy stracić nie można.

Przytoczyliśmy tu tylko jedną stronę dodatnią projektu ks. Cynalewskiego. Stron takich jest znacznie więcej, jak pod względem finansowym, tak narodowym.

Wogóle projekt ten, raz zamieniony w czyn, oddać może i musi ogromne przysługi społeczeństwu naszemu tak tu w Ameryce, jakoteż w kraju ojczystym.

Jak niegdyś John D. Rockefeller przy skromnych funduszach rozpoczął rafinowanie nafty, jak A. Carnegie również z nieznaczną gotówką zajął się wytwarzaniem żelaza i stali, i obaj ci zdolni organizatorzy przemysłu rozwinęli przedsiębiorstwo do niebywałej potęgi i robią dziś setki milionów, tak my Polacy z czasem możemy stworzyć ogromną potęgę finansową z proponowanej przez ks. Cynalewskiego "Polskiej Spółki finansowej".

Źle się stało, że organizacye nasze i prasa przeszły po nad tę sprawę do porządku dziennego. Być może, że w roku grunwaldzkim podniesie ją ktoś na nowo. Wystawilibyśmy sobie smutne świadectwo ubóstwa, gdybyśmy jej rozwiązać i załatwić nie potrafili.

ZWIĄZEK JEDNOŚCI.

Projekt J. E. Ks. biskupa Rhodego. — Chwila obecna nie nadaje się jeszcze do urzeczywistnienia tegoż. — Społeczeństwo nie przygotowane — Takt i rozum pierwszego polskiego biskupa. — Praca nad przygotowaniem gruntu.

Na Sejmie Zjednoczenia Polsko-Rzymsko-Katolickiego w r. 1909, J. E. ks. biskup Rhode wystąpił z projektem, głęboko pomyślanym — któremu dał nazwę: "Związek Jedności."

Idzie o to, aby (o ile można wyrozumieć z tego, co dotąd jest ogłoszonem i z taktyki, którą dostojny projektodawca stosuje do stopniowego wprowadzenia projektu w życie) połączyć wszystkie organizacye i towarzystwa, i ostatecznie doprowadzić do tego, (co już w broszurze naszej podkreśliliśmy bardzo dobitnie) **by każdy Polak należąc chociażby do jednej tylko organizacyi, czuł się przez nią pożytecznem kółkiem wielkiego mechanizmu ożywiającego cały nasz organizm społeczny.**

Nie przesadzając bynajmniej rezultatów starań dostojnego inicyatora tego pięknego projektu, bez żadnej myśli ubocznej, a wprost z obowiązku obywatelskiego, skonstatować należy, że nowa ta próba odbywa się wśród warunków bynajmniej i w niczem

niezmienionych, wśród warunków, prawie, że zupełnie podobnych tym, w jakich odbywały się dawniejsze, z Ligą, Federacyą i Kongresem Katolickim.

Jedno jest w tem pocieszające, że dostojny projektodawca odczuwa to również bardzo głęboko, wie, że ogół do przyjęcia planu nie jest jeszcze przygotowany i godzi się z tem, że można go będzie urzeczywistnić tylko kolejno, idąc po linii najsłabszego oporu, jednocząc najpierw tych, którzy już dziś są sobie najbliżsi, a których nie zasady, nie przekonania, a tylko interes, albo prywata rozłącza.

Co do Związku Narodowego Polskiego — i jego udziału w tym Związku Jedności, to tak dostojny projektodawca, jak i sam Związek, zachowują głębokie milczenie.

I słusznie, gdy chwila stosowna nadejdzie, gdy obie strony dostatecznie do tego dojrzeją, życie samo wskaże najwłaściwszy sposób załatwienia tej sprawy.

Dziś na to jeszcze zawcześnie, chociaż obie strony dobrze to rozumieją, że praca wspólna dla ogólnego dobra jeżeli się ma odbywać pod hasłem "Związku Jedności", bez Związku Narodowego nie da się nawet pomyśleć.

Już sam fakt, że z biegiem lat w szeregach tej organizacyi znalazła się większość najtęższych jednostek, naszego wychodźtwa, że w jego szeregach jest wielu najtęższych działaczy parafialnych, są najpoważniejsi obywatele wszystkich naszych większych kolonii, jest zupełnie wystarczającym dla prawdziwych działaczy społecznych pewnikiem, że nie uda się żadne szersze przedsięwzięcie, które nie będzie miało jego sankcyi, jego zgody i jego poparcia.

Tak samo jak Związek Narodowy Polski, nie może absolutnie nawet marzyć o tem, by mu się kiedykolwiek, udała jakakolwiek szersza robota społeczna, bez sankcyi, zgody i pomocy duchowieństwa i tych polskich narodowych organizacyi, które są pod jego absolutną kontrolą, tak samo obóz przeciwny liczy się z siłą moralną, jaką reprezentuje ta cywilna organizacya narodowa.

I jest to stosunek zupełnie normalny, zupełnie zdrowy, jedyna może zupełnie zdrowa rzecz, która się wyłoniła z chaosu walk poprzednich, a będąca zadatkiem lepszej przyszłości, rzetelnego, zdrowego postępu w rozwoju naszego społeczeństwa w Ameryce.

Trzeba tylko rozwinąć pewną dążność w tym kierunku, abyśmy się jak najwyraźniej zrozumieli. Trzeba się starać, aby nietylko kierownicy obozów, ale cały ogół zrozumiał nietylko bezpożytek walk dotychczasowych, ale także ten fakt, dziś już wyraźnie dający się stwierdzić, że **jedna strona bez drugiej niczego dokonać nie jest w stanie**, i że to ustosunkowanie się sił **powinno stać się podstawą wzajemnego zbliżenia i kompromisów, a nie dalszej bezpożytecznej walki.**

Dziś jeszcze nie wszyscy to rozumieją, niektórzy zaś kierownicy z obu stron, chociaż i rozumieją, to jeszcze przyznać się nie chcą, że już aż tak daleko dojrzeliśmy w rozwoju ewolucyjnym.

Ale nadejdzie chwila, że zrozumieją wszyscy.

Kiedy wybije ta wielka dla nas godzina — trudno dzisiaj powiedzieć. Być może, że oba, do niedawna tak zawzięcie zwalczające się stronnictwa, będą chciały w dalszym ciągu, tylko w sposób mniej gwałtowny się pokonać, połknąć i strawić, ale — dla każdego głębszego obserwatora nie trudno już dzisiaj prze-

widzieć, że ani jednej, ani drugiej stronie się to nie uda.

Każdy dobry obywatel, życzliwy dla Polonii w Ameryce, powinien raczej rozwinąć jak najenergiczniejszą działalność w tym kierunku, aby poniechano nareszcie dalszych prób na polu tego... kanibalizmu.

Szkoda poprostu sił na tę walkę bratobójczą, tych sił, których nigdy nie będziemy mieli za wiele, aby podołać, ogromowi pracy i obowiązków w podtrzymywaniu i utrwalaniu naszego polskiego narodowego bytu w morzu obczyzny.

Szkoda sił! Nie jeden już dziś z przekonaniem powtórzy te słowa, ale trudno się łudzić, aby już jutro mogło być lepiej, aniżeli jest dzisiaj. Zanadto zaawansowaliśmy się w tej walce, a są pomiędzy nami i tacy, którzy co dzień będą powtarzali: "Szkoda sił", a walczyć będą w dalszym ciągu, bo całe życie niczego więcej nie robili, bo to już mają w krwi, bo ta walka jest dla nich potrzebą życia, bo tak się wpatrzyli w jej cel ostateczny: bezwzględne pokonanie i pochłonięcie przeciwnika, że już nie są zdolni, nie są w stanie zrozumieć innego piękniejszego celu, którym jednak żyją i trzymają się wszystkie narody ziemi.

Trudno się łudzić! Nie łudzi się też zapewne także i dostojny projektodawca "Związku Jedności."

W Roku Grunwaldzkim nie załatwimy jeszcze tej sprawy.

Ale należy wytężyć wszystkie siły, zrobić wszystko co będzie można, aby w roku tym wielkim, jubileuszowym, przygotować grunt dla tego wielkiego dzieła.

Ten też cel mając głównie na oku, przystąpiłem do opracowania tej broszury.

Ci — którzy sądzą, że jeszcze nie wyczerpali wszystkich środków w walce stronnictw, obozów i organizacyi, którym ciągle jeszcze się zdaje, że na tej drodze dobiją celu — pozwólmy — niech walczą dalej! Rezultat będzie dla ludzi rozumnych, dobrych obywateli i patryotów nowym i ostatecznym dowodem, jak jest bezpożyteczną i szkodliwą.

Ci zaś, którzy to rozumieją, zamiast walki, niech nie opuszczając szeregów własnych organizacyi, obozów i stronnictw, [bo uszanować należy pracę i dorobek naszych poprzedników, bo nie burzyć ale budować nam trzeba], wychodzą jak najczęściej z pracą w organizacyach **po za ich granice, z tą myślą, że korzyść z tej pracy mieć winni nie tylko ci, co do nich należą, ale — wszyscy Polacy.**

STOWARZYSZENIE POLSKICH KSIĘŻY.

Inicyatywa pierwszego polskiego biskupa. — Początek zrobiony. — O podobnem stowarzyszeniu w Królestwie Polskiem. — Stanowisko duchowieństwa w pracy obywatelskiej i narodowej. — Potęga opinii publicznej w tego rodzaju pracy. — W jakim kierunku należy ją rozbudzać.

Że J. E. ks. Biskup Rhode, tak właśnie, jak przedstawiłem w rozdziale poprzednim pojmuje całą sprawę, udowadnia całe jego postępowanie.

Widziałem go na Sejmie Zjednoczenia.

Budził zapał już samem ukazaniem się, porywał, słowem, mógł nakazywać przeprowadzanie jednogłośnych uchwał, jakie chciał, ale ani razu nie skorzystał z tej swojej przewagi; pozwalał w obecności swej na burzliwe, długotrwałe dyskusye, czekając, aż z izby wyłoni się samo — to właśnie, do czego w danej chwili obradujący w rzeczywistości dojrzeli dostatecznie

Nie spieszy się z budową, bo rozumie widocznie, że w naszych stosunkach taki "Związek Jedności" musi być raczej wyhodowany, jak żywe drzewo, wyrastające pod opieką rozumnego ogrodnika, niż zbudowany jako gmach z martwego materyału.

O głębokiem odczuwaniu potrzeb naszego społeczeństwa ze strony J. E. ks. biskupa, świadczy też jego inicyatywa w powołaniu w czasie Sejmu Zjedno-

czenia w Cleveland, do życia ogólnej organizacyi polskiego duchowieństwa, która ma być częścią składową przyszłego Związku Jedności.

Fakt zorganizowania tego stowarzyszenia, tak opisuje protokół podpisany przez sekretarza zebrania ks. Władysława Krakowskiego:

"Najprzewielebniejszy ks. Biskup zabiera głos i wyłuszcza zasady i wstępne kroki, jakie trzeba poczynić, aby do skutku doprowadzić proponowany Związek Jedności. Pierwszym i nieodzownym więc krokiem będzie połączenie się wszystkich polskich księży w Ameryce. Pierwszem pragnieniem ks. Biskupa jest stworzyć Związek Jedności w Duchowieństwie polskiem! Różni różne podawali plany i myśli, które po dojrzałem zastanowieniu zredukowano do następujących:

Na trzy części podzielić Stany Zjednoczone, na Średnie, Wschodnie i Zachodnie, a że w każdym z tych okręgów już istnieje Stowarzyszenie Księży, życzeniem więc jest, aby każdy polski ksiądz w Ameryce odczuł w sobie obowiązek przyłączenia się do jednego z tych okręgów, aby przez to samo dać początek i przykład, że ten Związek Jedności na seryo traktujemy.

Życzeniem Księży obecnych jest, aby podtrzymywać istniejące już organizacye Księży i aby je zjednoczyć. Już na Sejmie w Erie uchwalonem zostało, iż każdy polski ksiądz może należeć do Zjednoczenia przez Stowarzyszenia polskich Księży, albo, jeżeli już należy do Zjedn., przez jakie parafialne Towarzystwo, to może należeć do Stowarzyszenia Księży polskich za roczną opłatą $1.25., przez co będzie czerpał zyski moralne z tego Stowarzyszenia a

po śmierci każdy członek odprawi trzy Msze św. za spokój jego duszy.

Trzy te okręgi odbywałyby po kolei sejmy; gdy w jednym okręgu odbywa się sejm, dwa drugie okręgi wysyłają delegatów na tenże. Co trzy lub cztery lata odbywałyby się sejmy wszystkich trzech okręgów.

Myśl tę w zasadzie przyjęto; ciężar przeprowadzenia jej zdano na księdza Biskupa.

Ksiądz Biskup przyjmuje i prosi o pomocniczy i przygotowawczy komitet, a za zgodą wszystkich obecnych wybiera następujących:

Ks. St. Rogalskiego, ks. F. Wojtalewicza i ks. K. Sztuczko.

Temu więc komitetowi z ks. Biskupem na czele polecono poczynić wstępne kroki i przygotować pole do działania.

Zgodzono się i na to, że będzie korzystną rzeczą, jeżeli i ks. Biskup w imieniu Księży Zjednoczenia odezwie się do Wiel. kapłanów wszystkich trzech okręgów ze słowem zachęty.

Uchwalono też, aby później zwołać wszystkich księży polskich świeckich i zakonnych i litewskich na jedno wielkie zebranie, na któremby szczegóły organizacyi bliżej określono.”

Szczęść Boże w pracy!

Wierzymy wszyscy, że nowa ta organizacya będzie nową prawdziwie polską placówką w Ameryce, że promieniować z niej będzie miłość wiary takiej, jaką wyznawali Kordeccy, ks. Marek, Maćkiewicze, i inni, którzy równocześnie świecili przykładem cnót obywatelskich i poświęcenia dla kraju, dla wierzącego ludu polskiego.

Organizacyę tę powołuje do życia JE. ks. biskup Paweł Rhode, oczywiście dla pracy społecznej i obywatelskiej, na gruncie narodowym polskim.

Innego celu mieć nie może, boć dla spraw wiary św. i Kościoła Katolickiego w Ameryce, duchowieństwo tutejsze zorganizowane jest od dawna z uwzględnieniem podziału na dyecezye, a tak wspaniale, że inne wyznania z podziwem patrzą na jego sprawność i karność organizacyjną.

Lud polski tem goręcej wita zapowiedź tej organizacyi, tem więcej się po niej spodziewa.

Zabierającym się do tej pracy narodowej, niech mi będzie wolno przypomnieć gorące słowa kapłana-patryoty, pomieszczone przed pięciu laty pod adresem organizującego się do podobnej pracy duchowieństwa w Królestwie Polskiem, na łamach organu tegoż [pod skromnym tytułem "Dla swoich"], który w ten sposób przemówił:

"Potrzeba narodowi w osobie księdza — Polaka, światłego przewodnika, przejętego duchem apostolskim, gotowego do największych ofiar i poświęceń dla ideałów, których jest wyobrazicielem. Naród musi nas zobaczyć przy pracy; żeby nas poznał, musimy wprzód iść do niego. Niech z ust kapłańskich, które według wyrażenia pisma św. strzedz mają mądrości, usłyszy, że ziemia ta to własność narodu, macierz nasza ojczysta; niech lud się dowie, że mowy ojców, jak skarbu najdroższego przed rabusiami pilnować winien; ostrzegajmy lud polski przed wylewem prawosławia i niewiary: wraz z oświatą religijną podajmy mu katechizm obowiązków względem ojczyzny. Zadanie nasze wypełnimy, jeżeli pójdziemy w ślady pierwszych siewców ewangelicznych. Tamci szli zawsze prosto wytkniętą drogą do

celu, bez lęku, bez trwogi, bez oglądania się na ludzkie względy. W uczuciach czyści, mężni w zasadach, nie splamieni podłością i tchórzostwem; wszyscy jak jeden mąż ubiegali się o koronę męczeńską''....

I duchowieństwo polskie w Królestwie poszło za tym głosem obywatelskim. Stanęło wraz z ludem w najkrytyczniejszych dniach przesilenia, przez jakie przechodził kraj, w czasie i po wojnie japońskiej, ochroniło go od potopu rewolucyi, a i dziś dodaje mu siły w mężnem znoszeniu przeciwności, kiedy w państwie rosyjskiem na nowo rozpanoszyła się reakcya, a na kraj nasz nowe walą się klęski i prześladowania.

Pod tym względem, w kraju naszym zaszła w ostatnich latach olbrzymia zmiana; duchowieństwo, zwłaszcza młodsze, i zwłaszcza w Królestwie Polskiem, zupełnie inaczej pojmuje te obowiązki społeczne i narodowe, niż przed niewielu jeszcze laty.

W sierpniu, 1904 roku, pisało ''Słowo Polskie'' we Lwowie, co następuje:

''Duchowieństwo nasze w zaborze rosyjskiem budzić się zaczyna z tego omdlenia i wyrzeczenia się podnioślejszych aspiracyi, w jakie popadło po klęsce ostatniego powstania. Klęska spadła na duchowieństwo z większą może gwałtownością, niż na jakąkolwiek warstwę naszego społeczeństwa. Lepsze jednostki zginęły, poszły na wygnanie, lub na emigracye, hierarchia kościelna została zdezorganizowana, całe duchowieństwo poddane ścisłemu dozorowi policyjnemu, zostało pozbawione i tych elementarnych praw jakie przysługują świeckim Polakom w państwie carów. Od księży katolickich wymagać poczęto bezwzględnego posłuszeństwa dla wszelkich rozkazów władzy, choćby wręcz sprzecznych z obowiązkami nakładanemi przez kościół, na przewodników wreszcie

narzucano im niejednokrotnie odstępców, wyklinanych przez stolicę apostolską.

Gnębione przez rząd najezdniczy duchowieństwo, nie znajdowało poparcia i w społeczeństwie, które też było znękane klęską, i wśród którego powstawały prądy księżom niechętne. Musimy wyznać, że duchowieństwo nasze wykazało duży zasób sił żywotnych, jeżeli w takich warunkach nie sprzeniewierzyło się całkowicie Kościołowi i Ojczyźnie. Moralna wartość jego obniżyła się jednak; znaczna większość księży zapomniała o wysokich obowiązkach swego stanu, i traktowała je po rzemieślniczemu.

W ostatnich czasach stosunki zmieniły się na lepsze. Rząd zaniechał najbardziej krzyczących nadużyć, nie zaniechał jednak swych celów i zamiarów. Jak dawniej tak i teraz chodzi mu o to, żeby księża byli najmniej gorliwymi katolikami i wcale nie czuli się Polakami.

Na czele duchowieństwa naszego niema już zdrajców, ale na dostojeństwa kościelne rząd carski dopuszcza tylko takie jednostki, o których przypuszcza, że "dla świętego spokoju" lub "dla uniknięcia gorszego złego" będą jak najmniej opierały się jego postanowieniom i planom."

Z przebiegu wypadków w latach ostatnich wiemy, że te "ożywcze prądy" z Królestwa, przedostały się i do innych zaborów, że wszędzie nastąpił pewien przewrót w zapatrywaniach na udział duchowieństwa w pracach społecznych.

Doszło do tego, że ogromna większość księży godzi się dziś bez zastrzeżeń na jeden z najważniejszych postulatów wewnętrznej polityki narodowej, który brzmi jak następuje:

"Uważając Kościół Rzymsko-Katolicki w Polsce za instytucyę narodową, ustala się zasadę kontroli o-

pinii publicznej nad polityką władz kościelnych i zachowaniem się obywatelskiem duchowieństwa, której to kontroli ze strony ogółu podlegać muszą wszystkie instytucye narodowe."

Dałby Bóg, by i u nas doszło do tego, by i u nas duchowieństwo nasze zjednoczyło się z ludem nie tylko w roli duszpasterskiej, ale i w pracach obywatelskich, społecznych, podejmowanych na zasadach takich, na jakich widzimy w tym kraju przy pracy obywatelskiej duchownych wszelkich wyznań.

Duchowieństwo w Polsce, godząc się na kontrolę opinii publicznej, wiedziało, **że w ten sposób w postaci tej samej opinii, buduje sobie fortecę, w Rosyi, przeciwko prawosławnemu czynownictwu, w Wielkopolsce przeciwko protestanckiemu rządowi,** nie wahającym się używania wpływów nawet na hierarchię kościelną, jeżeli idzie o zgnębienie Polaków.

W Ameryce miejsce owych rządów w stosunku do ludu polskiego, **zajmują prądy amerykanizatorskie, przeciwko którym kontrola opinii publicznej może być jedyną skuteczną bronią.**

Rozbudźmy w sposób rozsądny tę opinię, a duchowieństwo nasze będzie miało w pracy swej obywatelskiej prawdziwą opokę, na której zawsze skutecznie oprzeć się będzie mogło.

Wszyscy dobrze wiemy, że w sferach dziś, w wielu wypadkach decydujących, nie zawsze i nie wszystko się podoba, co dzieje się w naszym kościele, lub naszej szkole.

Z czasem może być jeszcze gorzej.

Jedno tylko wówczas uratować nas będzie mogło, gdy każdy kapłan będzie mógł z czystem sumieniem oświadczyć:

Lud polski — tego się domaga.

Lud polski — chce i pragnie śpiewu polskiego w swoich kościołach. Lud polski domaga się zaprowadzenia jednego systemu we wszystkich szkołach parafialnych. Lud polski nie życzy sobie nauki katechizmu w języku angielskim.

Duchowieństwo nasze potrzebuje w takich i podobnych wypadkach jednozgodnego poparcia całego ludu polskiego, którego atoli dozna wówczas dopiero, gdy go dostatecznie uświadomi, gdy go dostatecznie do tego przygotuje, aby był w całem słowa znaczeniu zdolnym do funkcyi takiego kontrolującego organu.

Nie idzie tu zatem, jak każdy widzi, **o żadną supremacyę jakiejś cywilnej opinii publicznej nad klerem naszym,** idzie natomiast **o wytworzenie wspólnymi zabiegami inteligencyi tak duchownej jak świeckiej, takiego poczucia wspólności interesów, by się na nie w każdej potrzebie odwołać było można.**

Jeżeli powoływana obecnie do życia organizacya duchowieństwa polskiego zechce w tym kierunku zaznaczyć swoją działalność, błogosławić ją będzie Lud Polski i Ojczyzna.

POLSKA MACIERZ SZKOLNA W AMERYCE.

Pierwszy artykuł w "Gazecie Polskiej" przed Sejmem Z. N. P. — Referat do Wydziału Oświaty. — Czy Polacy w Ameryce zdobędą się na Dar Grunwaldzki dla Ojczyzny? — Najdonioślejsza sprawa.

W miesiącu wrześniu na tydzień przed Sejmem Związku Narodowego Polskiego w Milwaukee 1909 roku, pojawił się na łamach "Gazety Polskiej" artykuł, na który wówczas prasa nasza nie zwróciła jeszcze uwagi, a w którym w następujących słowach przedstawioną została konieczność zorganizowania Polskiej Macierzy Szkolnej w Ameryce:

Polska Macierz Szkolna w Królestwie Polskiem, ta najwspanialsza instytucya, na jaką zdobyła się Ojczyzna nasza w swem porozbiorowem życiu, konając pod obuchem barbarzyńskiego rządu rosyjskiego, spadek po sobie — w postaci milionów druków, którymi regulowała swe życie, przekazała Polakom w Ameryce, z wyraźnem zaznaczeniem swej woli ostatniej, swego testamentu, by ją wskrzeszono tu, za Oceanem, gdzie moc wroga rozbija się u bram wolności, by uratowano od zagłady tę myśl wielką, w której naród widzi nadzieję swego odrodzenia, swojej lepszej przyszłości.

Wykonawcą tego testamentu, tej ostatniej woli dobijanej Macierzy wyznaczony został w Ameryce

Związek Narodowy Polski, który zaszczyt ten i ten obowiązek przyjął na swoje barki.

Miejmy nadzieję, że nie zawiedzie położonego w nim zaufania.

Trudno ukrywać, że nie tylko szerokie masy członków tej organizacyi, ale także wielu jej przewodników, dziś nie zdaje sobie jeszcze dokładnie sprawy z całej głębi zdania, którego się podjęto, i całej doniosłości, jaką sprawa ta brzemienna jest już w samem swem założeniu.

Byli tacy, co z uśmiechem politowania patrzvli na ogromne dwanaście pak druków — jak im się zdawało zupełnie bezużytecznych, i dziwili się, że w Warszawie nie żałowano przeszło tysiąca rubli, aby wysłać te "śmiecie" za morze.

Nie zrozumieli, że w tych pakach został zawarty duch konającej instytucyi, który głosem wyraźnym, acźkolwiek cichym, by go dosłyszeć mógł każdy ze śmiertelników, wołał do nas z przejęciem: — **Powinniście i musicie stworzyć Polską Macierz Szkolną w Ameryce.**

Ci jednak co dosłyszeli i zrozumieli, powtórzą go głośniej na Sejmie w Milwaukee, a potem pójdzie on już echem coraz donioślejszem po wszystkich koloniach polskich, aż w roku grunwaldzkim — miejmy nadzieję — poruszy wszystkie polskie serca i w czyn przyoblecze — czyn godny potomków wielkiego narodu, co ongiś kruszył takie potęgi.

Inicyatywa i powołanie do życia Macierzy, spoczywa w rękach Związku N. P.

Jakiej Macierzy?

Czy może nowej instytucyi, którąby — jak radzi dr. Szymański — "nie burząc istniejących szkół parafialnych, budowała nowe, świeckie, należycie uposażone," czy może takiej, jaka już działa w Mil-

waukee, głównie agitując za wprowadzeniem języka polskiego do szkół publicznych?...

Przenigdy!

Duch tej wspaniałej instytucyi oświatowej, która niestety na tak krótko **zjednoczyła cały naród w Królestwie**, woła do nas wyraźnie:

Jestem pomiędzy wami i będę — po to, aby was zmusić do jedności, aby wam samą nazwę na każdym kroku przypomnieć ostatnią wolę swą, wolę okrutnie zamordowanej: **w jedności służyć macie polskiej szkole i — Macierzy!**

I w tem właśnie tkwi owa sakramentalna moc testamentu.

Zdaję sobie dokładnie sprawę z trudności, jakie znajdą się niewątpliwie na drodze do wprowadzenia w czyn tego wielkiego nakazu. Widzę i rozwydrzenie partyjne i osobiste zawiści i chęci wprzągnięcia wielkiego nakazu na usługi partyjne i obojętność szerszego ogółu i ową niechęć, którą w pewnych kołach obudzi już sam fakt, że inicyatywa spoczęła w rękach Związku Narodowego Polskiego. a jednak wierzę, że duch Macierzy zwycięży, połamie wszelkie przeszkody, usunie wszelkie zapory, zbliży zbrata wszystkich dobrych synów i dobre córy ojczyzny, przygotuje grunt do dalszych prac dla ogólnego dobra i zaświeci jutrzenką nadziei lepszego jutra.

Nadzieję tę i tę wiarę opieram zarówno na nazwie, której wykonawcom testamentu zmienić nie wolno, jak i na samym planie pracy, który wskazuje tak nazwa, jak i samo życie.

Sejm Związku zadecydować ma że na początek we wszystkich miejscowościach, gdzie istnieją biblioteki związkowe, [a jest ich około 150, skupiających obok siebie nie tylko grupy związkowe] — komitety

tychże, czuwające nad nimi, mają puścić w ruch cały mechanizm nowej instytucyi, podług gotowych z Królestwa Polskiego nadesłanych wzorów.

Nie wierzyłbym przywódcom; ci długo jeszcze będą się zwalczać pomiędzy sobą, usiłując w wir walk własnych wciągnąć lud polski, ale wierzę ludowi, wierzę w to, że ten lud właśnie, bez różnicy, pod którym stoi obecnie sztandarem, skoro tylko posłyszy ten głos, zrozumie go i odczuje, poprze tę sprawę i zmusi swarliwych wodzów do zaprzestania walki.

Praca w tej nowej instytucyi, skoro raz powołaną zostanie do życia, odbywać się może tylko u dołu, tylko wśród szerokich mas, gdzie nie ma miejsca na mędrkowanie, gdzie jedynym probierzem wartości danego przedsięwzięcia może być korzyść zupełnie wyraźna i możliwie jak najrychlejsza.

Programu wyraźnego dla Polskiej Macierzy Szkolnej w Ameryce — po za tym, który wskazuje nazwa, jeszcze nie nakreślono; ale nakaże go sam lud polski, nakażą go jego wyraźne potrzeby, a takiemu nakazowi nikt się nie będzie mógł sprzeciwiać.

Lud zaś polski powie wyraźnie: Mam szkoły źle uposażone, mam podręczniki niezgodne z wymogami pedagogiki, mam siostry, które powinny po parę lat dłużej uczyć się same, nim staną na stanowisku nauczycielek, potrzeba mi szkół średnich i wyższych, mam dużo dziatwy i młodzieży chętnej do nauk, a ubogiej — potrzeba mi bibliotek, czytelń, a na to wszystko potrzeba pieniędzy.

Dam chętnie, ale instytucya, którą powołujecie do życia, musi mi dać gwarancyę, że uczciwie i sprawiedliwie zaspokajać będzie te wszystkie moje potrzeby.

Zaś pod wrażeniem nakazu Ducha zamordowanej Polskiej Macierzy Szkolnej z Królestwa Polskiego i wyraźnego głosu ludu, muszą sobie podać ręce wszyscy jego przewodnicy, którzy nietylko dziś nie mają, ale także i jutro nie będą mieli do tego ochoty.

Ci zaś z przewodników naszych, którzy już dziś rozumieją głos tego Ducha, którym serce uderza żywiej na samą myśl o takiej przeogromnej, wspaniałej a tak potrzebnej i w skutki owocnej pracy, niechaj dziś już przygotowują serca i dusze na jej podjęcie. Niech ich nie zrażają zgrzyty partyjnych walk i starych uprzedzeń, niech ich nie straszy myśl, że którakolwiek partya będzie chciała wyzyskać tę pracę na swą korzyść.

Na straży jej stanie Duch zamordowanej i nie pozwoli na żadne zboczenia.

Trzeba z żywymi naprzód iść!

Weźmy wszyscy, którzy zdolni jesteśmy do zrozumienia tej wielkiej myśli, pracę tę doniosłą w łono tych kół, w których żyjemy obecnie i wyjdźmy z nią po za ciasne granice organizacyi i towarzystw, tak, aby pożytek miał cały ogół nasz i cała nieszczęśliwa Ojczyzna.

....

Na Sejmie Związku Narodowego Polskiego przyjęto jednogłośnie i bez dyskusyi polecenie Wydziału Oświaty, aby wyasygnować na ten cel $1000.00 i dać mu upoważnienie do pracy.

Sprawa posunęła się o jeden krok naprzód.

....

Przed pierwszem posejmowem posiedzeniem Wydziału Oświaty, które odbyło się dnia 20 listopada, opracowałem w tej samej sprawie referat i opublikowałem go na łamach "Gazety Polskiej". Wszystkie poważniejsze pisma, zainteresowały się nim bardzo gorąco, a w głosach ich nie było ani jednego zasadniczego sprzeciwu.

Referat, ze względu na zawarte w nim myśli — powtarzam w dosłownem brzmieniu:

Do Wydziału Oświaty Z. N. P. w Chicago.

Szanowni Koledzy!

Kiedy do polskich osad w Ameryce doszła wieść o rozwiązaniu przez rząd rosyjski Polskiej Macierzy Szkolnej w Królestwie Polskiem, nie było w nich bodaj nikogo, ktoby był zdolnym oprzeć się uczuciu przygnębienia.

Aczkolwiek, przeciętnie biorąc, nie bardzo i nie wszyscy interesujemy się tem, jak tam w Polsce bracia nasi pracują, jak cierpią i jakie znoszą prześladowania, to jednak o Polskiej Macierzy Szkolnej w Królestwie wiedzieli wszyscy i nie bez poczucia pewnej dumy mówili o instytucyi, która w przeciągu kilkunastu miesięcy z ofiarności ludu zgromadziła milionowe fundusze, otworzyła kilka set szkół, zorganizowała całą armię nauczycieli i kilkudziesięciu tysięcom dziatwy i młodzieży otworzyła na ścieżaj wrota wiedzy, tworząc po za tem setki i tysiące stowarzyszeń oświatowych, organizując wykłady popularne, odczyty, fundując biblioteki i czytelnie.

Do dziś jeszcze wielu z nas żyje pod wrażeniem owego zapału z jakim o tem wszystkiem opowiadali nam wysłannicy Macierzy, ks. Gralewski, pp. Kowalski i Włodek.

Wierzyliśmy wówczas, że Polska już zmartwychwstała.

Popłynęły i od nas za morze wdowie ofiary składane ochotnem sercem na ołtarzu oświaty narodowej.

Tem boleśniej odczuliśmy następnie straszny cios wroga, który kilkoma słowy carskiego ukazu zniósł Macierz wołając groźnie: "Precz z marzeniami!"

A gdy potem rozeszła się wieść, że zamordowana Macierz Szkolna do nas właśnie, do Polaków w Ameryce, zwróciła się wielkim dowodem pamięci, wyrażając wolę swą ostatnią, i wykonawcą tej woli mianując Związek Narodowy Polski, by tu podobną instytucyę powołać do życia, zadrżało pomiędzy nami wiele serc uczuciem wdzięczności i przeczuciem wielkiego czynu, w którym tkwi zadatek naszej potęgi na ziemi Amerykańskiej.

Powołany przez Wydział Oświaty do otworzenia nadesłanych z Warszawy pak i uporządkowania zawartego w nich materyału, z podziwem oglądałem owe miliony druków, za pomocą których puszczono w ruch potężny mechanizm organizacyi oświatowej, że równej niemiał bodaj żaden naród Europy.

Tysiące myśli przekłębiło mi się przez umysł, w którym mimowoli odbijały się obrazy ogromu prac, jakich tam się podjęto, w imię najszczytniejszych haseł, na jakie zdobyć się mogła ludzkość.

I widziałem, jak inicyatywę jednego stronnictwa, jednej partyi, jednej, ściśle mówiąc, organizacyi, podjął z zapałem naród cały, jak ochotnie, a zgodnie stanął do wprowadzenia w życie programu organizacyi oświatowej i z jaką żywiołową potęgą

doskonale obmyślony mechanizm puścił w ruch na pożytek ojczyzny.

Wówczas zrozumiałem całą ważność i doniosłość testamentu Polskiej Macierzy Szkolnej z Królestwa Polskiego.

Wyraźniej aniżeli słowa listu, przemówiły do mnie te miliony druków, noszących jeden wyraźny stempel:

Polska Macierz Szkolna!

Wysłannicy jej byli swego czasu pomiędzy nami, poznali nas, i boleśnie na każdym kroku odczuwali naszą niezgodę, nasz podział na partye i brak owego poczucia jedności narodowej posunięty aż do granic ostatecznych, aż do zupełnego lekceważenia każdej pracy, która się odbywa w przeciwnym obozie. Byli, zrozumieli i gdy się nadarzyła okazya, przysłali nam 12 pak druków z napisem: **Polska Macierz Szkolna.**

Ona ma nas połączyć, ma nas pogodzić, ma zaprządz do jednego rydwanu, na którym w tryumfie zasiąść ma ten Duch Narodowej Jedności, który do czasu w granicach dawnej Polski nie może święcić jeszcze jawnych tryumfów.

Wykonawcą testamentu zamianowany został Związek Narodowy Polski, i niech mi wolno będzie wyrazić nadzieję, że całe społeczeństwo nasze w Ameryce, wszystkie stronnictwa i organizacye potrafią ostatnią wolę Polskiej Macierzy Szkolnej uszanować, że mu nietylko pozwolą na inicyatywę, ale że mu dopomogą w powołaniu do życia nowej, a tak nam tu na wychodźtwie potrzebnej organizacyi.

Bo ta Polska Macierz Szkolna, o ile ja rozumiem wolę testatorów, nie może być wydziałem jednej organizacyi, jednego stronnictwa, lub jednej tylko części naszego społeczeństwa.

Ona musi być **organizacyą wspólną**, organizacyą w całem tego słowa znaczeniu **narodową**, która podobnie tak jak tam, w Polsce, wyszedłszy z łona jednej partyi (Stronnictwo Demokratyczno Narodowe) skupiła by pod swym sztandarem wszystkich najlepszych synów ojczyzny bez względu na partye do jakich należą.

Jak w warunkach, w których żyjemy zabrać sie do wykonania tak, wielkiego a tak trudnego zadania?

Mojem zdaniem, Wydział Oświaty Związku Narodowego Polskiego powinien przedewszystkiem z góry zaznaczyć, że przystępując w myśl otrzymanego zlecenia jako wykonawca ostatniej woli zduszonej przez wroga Polskiej Macierzy Szkolnej — podejmuje się powołania do życia nowej oświatowej organizacyi, której cele zupełnie wyraźnie już z góry są określone ustawami jej z Królestwa Polskiego, że dla ułatwienia sobie zadania powołuje przedewszystkiem do współdziałania wszystkie Towarzystwa dziś przy bibliotekach związkowych w liczbie 150 po koloniach polskich skupione, jako komitety tymczasowe, że wzywa wszystkich Polaków do współdziałania w tej pracy i że podejmuje się na rok lub dłużej roli tymczasowego zarządu w ręku którego skupiać się mają tymczasowo fundusze Polskiej Macierzy Szkolnej w Ameryce.

Członkiem Polskiej Macierzy Szkolnej w Ameryce, może być każdy Polak lub Polka, który uiści się z rocznego podatku w sumie jednego dolara.

Należy wydrukować odpowiednią liczbę kart legitymacyjnych, które po wpisaniu nazwiska, wręczane być mają tym, którzy uiszczą się z tej wkładki z oznaczeniem daty, do której wysokość wkładki do

zaszczytnego miana pełnego członka Macierzy ich upoważnia.

Aby umożliwić możność ubiegania się o ten zaszczyt nawet najuboższym, nawet dzieciom szkolnym, mogą użytymi być kwitaryusze Polskiej Macierzy Szkolnej z Królestwa Polskiego, w znacznej liczbie otrzymane, za pomocą których komitety lokalne będą kwitować nawet drobniejsze centowe ofiary, które następnie mogą być wymieniane na karty legitymacyjne.

Dla powiększenia funduszu, członkowie Polskiej Macierzy Szkolnej zobowiązują się w miarę możności do używania marek tejże Macierzy na listach — w celu propagandy wzniosłej idei i kart pocztowych, nadesłanych nam z Warszawy w liczbie kilku milionów.

Funduszom tą drogą zbieranym należy zastrzedz nienaruszalność przez rok lub dłużej, a o sposobach ich użycia, decydować będzie zjazd reprezentantów rzeczywistych członków organizacyi.

Oto w głównych zarysach plan akcyi, do której podjęcia, według mojego pojmowania, ostatniej woli rozwiązanej w Królestwie Polskiej Macierzy Szkolnej, jesteśmy zobowiązani.

Jestem przekonany, że na tej drodze podjęta, nie napotka na żadną opozycyę ze strony żadnego ze stronnictw narodowych i żadnej polskiej organizacyi.

Polonia w Ameryce, Związek Narodowy Polski i jego Wydział Oświaty, lepiej, dosadniej i pożyteczniej, nie może uczcić wiekopomnego zwycięstwa pod Grunwaldem, jak właśnie powołaniem do życia Polskiej Macierzy Szkolnej, która pod nasz byt narodo-

wy polski w tym kraju położyć może wiecznotrwały fundament.

....

"Wydział Oświaty" referat ten odesłał do specyalnej komisyi, która ma opracować plan organizacyi i zawezwać wszystkich ludzi dobrej woli do pracy.

Dalsze informowanie o przebiegu całej akcyi, o jej rozwoju, o formie, jaka ostatecznie nadaną zostanie samej organizacyi, należy do naszej prasy peryodycznej.

"Gazeta Polska", jak dotychczas, żywy będzie brać udział i w rozwinąć się jeszcze mogącej dyskusyi, i agitacyi, aby możliwie wszyscy Polacy w Ameryce wzięli udział, na jaki ich tylko stać będzie, w tej pracy, która na dziś — bodaj że najważniejsza.

....

Czuję, że po podniesieniu sprawy Polskiej Macierzy Szkolnej w tej broszurze, należy odłożyć pióro. Wszystko, cokolwiek dla dobra całego ogółu możnaby podnieść zalecić i przeprowadzić, może się okazać bladem i przedwczesnem, jeżeli nie załatwimy tej jednej, najbardziej piekącej, najdonioślejszej i najbardziej nam potrzebnej.

....

Na treść tej książeczki złożyła się pewna liczba odpowiednio przerobionych artykułów z "Gazety Polskiej", którymi pragnąłem pobudzić jej czytelników do czynu, do pracy twórczej, do głębszego wnik-

nięcia w istotę naszych potrzeb i naszego ogólnego dobra.

Dziś, dzięki obywatelskim i patryotycznym uczuciom Szanownych Wydawców "Gazety Polskiej", mają one rozejść się szerzej, dotrzeć do wszystkich przodowników naszych, pukać do serc, do dusz i umysłów jak najszerszych mas naszego wychodźtwa jako "zawołanie" na Rok Grunwaldzki.

Niech idą z Bogiem! Towarzyszy im z serca się rwące życzenie: Niech budzą!

"GAZETA POLSKA."

Szanownym Czytelnikom tej broszury zwracamy łaskawą uwagę że najstarsze pismo polskie w Ameryce, nasza "**Gazeta Polska**", wychodząca obecnie rok 38, jest **stale ulepszana** i postawiliśmy ją na możliwie najwyższym stopniu doskonałości.

Gazeta Polska wychodzić będzie w roku 1910 **stale o najmniej 16 stronicach** dużego formatu, a często wydawać będziemu **numery specyalne.**

Gazeta Polska przez cały rok 1910 zawierać będzie **bogaty dział ilustracyjny.** Jesteśmy przygotowani do pomieszczania kolejno historycznych i **bogato ilustrowanych** opisów wszystkich naszych kolonii **polskich w Ameryce.**

Pomieszczać będziemy bogate ilustracye z życia naszych rodaków w Polsce.

Wszystkie ważniejsze wypadki w Ameryce i całym świecie bogato będą ilustrowane.

Każdy numer Gazety Polskiej zawiera kilkadziesiąt ilustracyi.

Obok stałych współpracowników redakcyjnych, postaraliśmy się o cały zastęp zdolnych korespondentów w Ameryce i w **Europie.**

Dział wiadomościowy "Gazety Polskiej" — jest zupełnie kompletny.

Oprócz tego stale podajemy w niej głosy prasy pt. "Co inni piszą" i wszystkie ważniejsze artykuły pojawiające się w innych gazetach.

Jest w niej oprócz tego bogaty dział gospodarski, dział dla kobiet, kącik humorystyczny itp., a przygotowane na ten rok powieści z pewnością będą czytane z niezmiernem zainteresowaniem.

Każdy może sam się przekonać o wartości Gazety Polskiej, każdy może to sprawdzić, wysyłamy bowiem każdemu **darmo** dwa numery na okaz.

Gazeta Polska kosztuje rocznie w Stanach Zjednoczonych $2.00, W Europie, Ameryce Środkowej i Południowej, Azyi, Afryce, Australii i Kanadzie $3.00.

Zwracamy uwagę, że każdy płacący $2.00 rocznej prenumeraty, ma prawo do wyboru na premię książek za dolara.

Na innem miejscu podajemy gotowy formularz, który należy tylko wypełnić i przesłać na nasz adres, z dołączenie przekazu pocztowego, a wysyłać będziemy Gazetę regularnie każdego tygodnia i książki wybrane na premię natychmiast.

Z Szacunkiem

W. Dyniewicz Publishing Co.

1113 Noble St., Chicago, Ill.

DO CZYTELNIKÓW TEJ BROSZURY.

Autor jej, a współredaktor "Gazety Polskiej", p. Stanisław Osada, napisał już sporą liczbę książek, powieściowych i innych, które mamy w naszej księgarni i które są również wysyłane na premie dla naszych abonentów.

Ze względu na treść tych prac literackich, polecamy je gorąco Szanownym Czytelnikom tej broszury, bo słusznem jest, aby serdeczna chęć autora dźwignięcia społeczeństwa polskiego w Ameryce na wyższy poziom rozwoju znalazła jak największe rozpowszechnienie i skuteczną pomoc ze strony jak największej ilości jednostek.

Krytyka tak tutejsza, a co ważniejsza w Polsce, wyraża się o tych pracach jak najpochlebniej, a jego powieści są tam drukowane w najpoważniejszych pismach i osobnych nakładach.

Podajemy tu kilka głosów prasy europejskiej i wybitnych literatów, o powieściach St. Osady.

* * *

Świat, tygodnik ilustrowany z Warszawy, pomieścił w numerze 9 z dnia 2 lutego 1909, następującą sylwetkę autora, (ozdobioną jego portretem) i następującą ocenę jednej jego powieści:

"**W dniach Nędzy i Zbrodni**" brzmi to w tytule książki, przy polskim nazwisku autora prawie, jak aktualność; a jednak brzmi z oddali czasu, bo z

przed 15 lat, i z większej jeszcze przestrzennej odległości — bo aż z za oceanu. Blizkość przedstawia bohater tych "dni nędzy i zbrodni" — lud polski, a zwraca na nią uwagę kształtująca się zwolna na drugiej półkuli literatura polsko-amerykańska. Znamy ją niedokładnie z form dziennikarskich, wzorowanych na migawkowej metodzie yankesów; wiemy, że belletrystyka żywi się tam przedrukiem z naszej lub przekładami z obcej literatury; nie wiele jednak wiemy o twórczości samodzielnej, walczącej o duszę narodową wychodźców, usiłującej bronić jej od prądów handlarskiego amerykanizmu, który dzikością powierzchownej cywilizacyi zatruwa polskie sumienie.

A przecież taka twórczość istnieje i jednym z sympatycznych jej objawów jest powieść Stanisława Osady.

Wybitny działacz społeczny i redaktor pisma "Sokół" wychodzącego w Chicago, autor "Dni nędzy i zbrodni" urodził się w roku 1869 w Pruchniku w Galicyi; do Gimnazyum uczęszczał w Przemyślu· wykształcenie zaś swoje uzupełniał we Lwowie, gdzie związany z młodzieżą, grupującą się około programu T. T. Jeża, nawet w wojsku od tego programu nie odstąpił, co go zmusiło do dezercyi. Uszedłszy w 1891 roku z Jarosławia, spotkał się w parę tygodni potem w Genewie z Jeżem; ale brak pola do pracy społecznej w Szwajcaryi pchnął go stamtąd w dalszą drogę, i w półtora roku później Osada znalazł się w Ameryce.

"Listy z Ameryki" drukowane systematycznie w "Wolnem Polskiem Słowie" w Paryżu, a datowane z Buffalo, zwróciły przypadkowo uwagę majętnego A. Karwowskiego, który zakładał właśnie w Buf-

falo gazetę pt. "Reforma", wydobył Osadę z garbarni, gdzie tenże malował skórki i ofiarował mu sześć dolarów tygodniowo za redagowanie pisma. Wynagrodzenie wydało się Osadzie królewskiem; gdy jednak około "Reformy" skupiały się co raz mętniejsze szumowiny społeczne, redaktor po dwóch latach uciążliwej a nie odpowiadającej jego duchowi pracy, opuścił pismo i z Buffalo przeniósł się do Chicago, gdzie walcząc nieustannie redagował kolejno "Nowe Życie", "Sztandar", Dziennik Polski" poczem wyjechał do Milwaukee. Tam objął redakcyę "Kuryera Polskiego", po trzech latach wrócił do Chicago, gdzie prowadzi "Sokoła" i "Dział Sokoli" w "Zgodzie", jest członkiem zarządu Związku Narodowego Polskiego, liczącego około 60.000 członków, którego historyę skreślił w książce odzwierciadlającej wpływy, jakie Polska i jej kultura wywierała na gromady wychodztwa polskiego, od jego początków aż do doby obecnej. Odczyty o "Stronnictwie Demokratyczno Narodowem i Lidze Narodowej" głoszone w koloniach polskich przez Osadę i przez trzydziestu kilku jego lektorów, miały jednocześnie około 8000 słuchaczów i zapoczątkowały niewątpliwie głębsze emigracyi za Oceanem zrozumienie prądów miotających daleką Ojczyzną. One też ułatwią zapewne prelegantowi propagandę idei, wytworzenia jakiegoś ciała, reprezentującego ściślejszą łączność wśród Polonii amerykańskiej.

Takim jest Stanisław Osada jako publicysta, który nie przestaje pracować jako powieściopisarz. Pod tym kątem należy przedewszystkiem oceniać "W dniach nędzy i zbrodni". Z dziejów wychodźtwa polskiego wybrał Osada moment najcharektyrystyczniejszy, rok 1893, kiedy po wystawie Chicagoskiej w całym kraju zapanował niesłychany zastój i kilka

milionów ludzi wałęsało się bez pracy. Autor sam przez półtora roku przechodził wszystkie nędze i poniewierki tej rozpaczliwej walki o kęs chleba, którą opisawszy najprzód w całym szeregu listów drukowanych w Paryżu w "Wolnem Polskiem Słowie" zobrazował później w pierwszej części swej powieści. Są to tragiczne losy tak zwanych "trampów" t. j. tłumów roboczych wyrzuconych z obrębu fabryk wskutek przesileń finansowych i ściganych w swej tułaczce przez władze amerykańskie, które w nazwę "tramp" wciskają z całą pogardą silnych i sytych, pojęcie lenistwa i zepsucia. Z zagłodzonych tułaczów tworzą się partye liczące niekiedy po kilka tysięcy głów, a jeden z takich polskich oddziałów prowadzony przez "jenerała" Rybakowskiego, scharakteryzowany został w powieści z fotograficzną niemal dokładnością, dzięki odbytej z nim przez samego autora wędrówce ku Pittsburgowi, przerwanej za wdaniem się miejscowego szeryfa.

Z natury sytuacyi wynika, że ją wyzyskiwać usiłują wywrotowe żywioły spekulujące na rozpaczy "trampów". I co najżywiej może interesuje w "Dniach Nędzy i Zbrodni", to psychologia polskiego w tułaczach charakteru, opierającego się podszeptom anarchii, którą wcielają fatalnej pamięci Czołgosz i żydówka Róża, moralna sprawczyni mordu, popełnionego przezeń na prezydencie McKinley'u. W spożytkowaniu tego historycznego motywu, wykazał Osada zmysł artystyczny, nie uległszy pokusie kryminalnych efektów i bardzo dystkretnie załatwiwszy się zarówno z samym "zamachem", jak i ze straceniem mordercy. Natomiast z niepośledniią zdolnością kreślone sceny zbiorowe, z których autor wydobywa czystą duszę polskiego tułactwa, świadcząc, że publicysta potrafi być psychologiem, a ta właści-

wość jego uzdolnienia zapewnia powieści wartość, którą zainteresowany czytelnik skłonny jest oceniać według wyżej nad pożytek skali.

"**Biblioteka Warszawska**" poważny literacki miesięcznik, w marcowym numerze 1909 roku, pomieściła o tej samej powieści obszerną, 5 stron obejmującą recenzyę, [powtórzoną przez kilka innych pism w Warszawie], pióra Izy Pobóg, w której między innymi czytamy:

"...W każdym razie, polsko-amerykańska literatura, jakiekolwiek byłyby jej początki, powstała samodzielnie, a zatem i samodzielnie wyrabiać się musi, a jak dotąd, stanowi ona broń przeciw kosmo polityzmowi, jest ochronicielką naszej narodowości a zatem, może z czasem dosięgnąć tych wyżyn, na jakich dziś stoi nasze ojczyste piśmiennictwo. Jako objaw tej nadziei występuje powieść Stanisława Osady: "W dniach nędzy i zbrodni."

Zakończenie brzmi jak następuje:

"...Rzetelną usługę oddał autor tutejszemu społeczeństwu że właśnie w "Dniach Nędzy i Zbrodni" umiał wydobyć na jaw owe świetlane postacie, że wyjaśniwszy należycie knowania żydowskie, wskazał nam drogę, po której powinniśmy dążyć, a jednocześnie omył z naszego ludu owo krwawe piętno hańby jaka ze zbrodniczej dłoni Czołgosza spadła na nieszczęśliwych tułaczy. Powieść Stanisława Osady, "W dniach Nędzy i Zbrodni ' ze względu na genezę tego utworu, na bogatą treść, malowniczość obrazów, na plastykę w przedstawieniu życia naszych rodaków na obczyźnie i strasznej walki jaką toczyć muszą, by zdobyć kawałek chleba, zająć powinna w całej Polsce czytelników żądnych wiadomości o doli emigrantów."

Oprócz tego redaktor "Biblioteki Warszawskiej" śp. Bogusławski, znakomity krytyk literacki w liście do autora wyraził mu swoje uznanie oraz zachętę do dalszej pracy na tej niwie, zamawiając następną powieść dla reprezentowanego przez siebie pisma.

"**Z pennsylwańskiego piekła**", druga powieść pióra Stanisława Osady, doczekała się licznych recenzentów i krytyków, którzy podawali jej treść, nie szczędząc pochwał dla autora na łamach "Pracy" i "Kuryera Poznańskiego", "Przeglądu Emigracyjnego", "Słowa Polskiego" ze Lwowa i wielu innych pism w Polsce.

J. J. Rayski, powieściopisarz i weteran z Paryża, pisze co następuje: "Tak szlachetnej tendencyi dawno nie spotkałem w powieści polskiej; czyta się ją z rozkoszą, a są kartki, które się łzami oblewa."